Nr. 10 (1054). Warszawa, dnia 24 Lutego (9 Marca) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od Administracyi

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

Abonentom przybywającym obecnie n ry 3, 4 i 5 „Prawdy" będą przysłane później.

POLITYKA.

Kraina głodów.

Nowy gabinet włoski rozpoczyna życie w ciężkich warunkach. Powitał go głód w Apulii i na Sycylii — po wsiach i po miastach. Zima jest mroźna, urodzaj był zły, a będzie jeszcze gorszy. Niema już dziś Rzymu, do którego spływała nędza, niema cezarów, cenzorów, ani pretorów; niema arystokracyi światowładnej, ani wielkich magistratur, o któreby się dobijał plebejusz świeżo wytrysły z mroku na równi z patrycyuszem, zapadającym w mrok; nie potrzeba sobie kupować ludu ani chlebem, ani igrzyskami: niechaj go ślepe prawo życia samo ślepemi swemi drogami prowadzi. Rozkoszne równiny Apulii, wspaniałe, opływające w bogactwach pomorza Wielkiej Grecyi, śpichlerz Italii, Sycylia — wszystko to mit unurzany w elizejskich mgłach tęsknoty. Włochy południowe są piękne, ale głodne; rozmarzające, ale próżniacze; zdolne wielce, ale ciemne: i tylko powab lub dzikość natury przestrzeniowej bliźniaczemi węzły zespala się z uśmiechami lub dzikością natury psychicznej. Człowieka tam urabiają raczej ziemia i niebo, słońce i powietrze, niż szkoła, kościół, społeczność rodzinna lub państwowa.

Lud ten nie był nigdy szczęśliwym, choćby w takiem znaczeniu, żeby go w ziemię nie wtłaczała chciwość, żywcem nie zakopywała jędza, jeśli nie głodu, to niewolnictwa. Jaśniały przepychem zamki zdobywców normandzkich, dwory cezarów niemieckich rozbrzmiewały chichotem szczęścia, szeptem miłości, hukiem wspaniałych hołdów i biesiad; nawet stada koni i zwierząt folwarcznych na błoniach Apulii radowały wzrok: lud tylko jeden był albo smutny, albo dziki, cichy lub rozszalały, ale zawsze bardzo nieszczęśliwy. Na jego ziemi powstały największe latifundya i najohydniejsze też ergastula; z tej jego ziemi, rzucano go na karm rybom, o ile nie został półobywatelem rzymskim, italikiem — już na progu ostatniego stulecia rzeczypospolitej. Z tej jego ziemi zerwał się Spartacus — aby krzyżami kilku tysięcy zaznaczyć drogę dziejową milionów. Tu i na Sycylii zawsze musiał gospodarować wielki jakiś gwałt, aby ludzie na jego służbie, w jego niewoli mieli co jeść — jeść i pracować dla gwałtu. Tu praw człowieczych i człowieczego tętna i człowieczego jęku nie czuł, nie słyszał nikt; tu nawet sam organ czucia w cierpiących — od bezpłodnych swych funkcyj zamarł: lud nie myślał, nie wiedział, że cierpi. Zmieniały się rządy: greckie, rzymskie, bizantyjskie, saraceńskie, normandzkie, niemieckie, zmieniały francuskie, hiszpańskie i włoskie przez wieków tyle: żaden z nich nie zdjął klątwy ze stosunków Głupcom wydawała się ona klątwą nad ludźmi samymi. Ci, z których wychodziła, podawali ją za wolę losu, czy Boga. Wieki płynęły — ale nie przepłynęła niedola.

Rząd narodowy patryotyczny, konstytucyjny, zatem pojętniejszy i czulszy, sternik odrodzonej ojczyzny, nie większą okazał pojętność i czułość, zwłaszcza gdy chodziło o Sycylię. Tu wszystko, co wiekowa przemoc osadziła w społeczeństwie pamiętającem pierwotne czasy Kartaginy, ułożyło się w dziwnie wytrwałą średniowieczność, pod którym drga chciwość wielkiego kupca-wyzyskiwacza, jakim był na północo-zachodzie Kartagińczyk, na południu i wschodzie — Grek. Nigdzie może na kuli ziemskiej tak zwany dwór, dominium czy właściciel nie pastwił się w doskonalszych, niż tutaj, formach prawowitości a wyższej mierze rzeczywistego bezprawia, nad istotą od siebie zależną, trzymaną na uwięzi głodu. Przeszło 2,000 arystokracyi, czterech na milę kwadratową, musi dla splendoru wycisnąć jak najwięcej potu. Rządcy, pisarze prowentowi i sami nawet baronowie prowadzą podwójną kredką rachunki dla siebie, połowiczną dla tych, których pracą żyją. Pod rozmaitymi pozorami wyblakłymi już zupełnie w zwyczajach jako bezspornych prawach, powprowadzano różne formy uiszczania *in natura*, dziwnie ułatwiające manipulacye tych ciemnych oficyn barońskich. Próżniacze stado osiadło kraj, z którego Rzymianin stale sprowadzał pszenicę, na którym Grek dorabiał się majątku handlem w wielkim stylu, jak w Syrakuzach, w Messynie, Agrygencie — i zubożyło go aż do wydarcia ludowi energii. Sycylia prawdziwie jest krainą mniejszych i większych Verresów; roi się w niej to robactwo. Nieuczciwość urzędnika, nawet z samorządu, wspiera chciwość właściciela: zyskami się dzielą. Po peryodycznych wybuchach bywały peryodyczne zapędy, nie było uczciwego rozsądku i energii. Trójprzymierze, wielka polityka—ogłupiają ministrów i wysuszają im mózgi i serca. Tam, gdzie trzeba ekstyrpatora, oni piórem orzą po dziennikach przedajnych i ciemnych.

Czy i Zanardelli wejdzie na te liche ścieżki? Chyba.

WIDMO DWU WOJEN.

Berlin, 1 marca.

Gdyby któryś z ministrów pruskich raczył zawitać w przeszłym tygodniu na jedno z trzydziestu olbrzymich zebrań ludowych, zwołanych dla zaprotestowania przeciwko cłom zbożowym, gdyby słyszał mowy żądające zniesienia ceł zbożowych, a tem bardziej potępiające podwyższenie już istniejącego haraczu, gdyby odczuł, ile oburzenia i nienawiści nagromadziło się przeciwko klice

feodałów, zrozumiałby, iż Niemcy w przeprzededniu brzemiennych burzą wypadków. Na widnokręgu ukazało się widmo dwu wojen: wypowiedziano nieubłaganą walkę chcącym za pomocą ceł utrwalić swe synekury majątkowe, a rząd, potakując bezgranicznym pretensyom agraryuszów, zmierza wprost ku wojnie celnej z państwem rosyjskiem, którą społeczeństwo tutejsze może przepłacić ruiną całego przemysłu i katastrofą ekonomiczną, nieznaną w dziejach Niemiec.

Przyjrzyjmy się zatargowi

Obecny spór społeczny posiada wszystkie cechy wojny domowej. Żadna ze spraw, które narobiły wrzawy w ostatnich latach w Niemczech, nie dorównywa pod względem doniosłości kulturalnej kwestyi taniego chleba. Co znaczy zamach na „nagą duszę“ nimf i faunów w porównaniu z podrożeniem najniezbędniejszego środka odżywiania dla człowieka pracy? O ile słabiej wstrząsa duszą prostaka nawet ustawa antiprzewrotowa, nakładająca pęta na skrzydła myśli, niż konieczność płacenia kontrybucyi za każdy kęs spożywanego chleba. Traktaty handlowe, a zwłaszcza umowa z Rosyą streszczają w sobie zatem dla biedaka całą potęgę zagadnienia: być albo nie być. Jest to fakt powszechnie znany, iż Niemcy w ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia z państwa eksportującego zboże przeistoczyły się w społeczeństwo spożywające zboże zagraniczne. W r 1860 po raz pierwszy wwóz żyta przeważa wywóz, a w 1873 po raz pierwszy uderza Niemców obecność pszenicy zagranicznej. Odtąd mijają bezpowrotnie dla rolników niemieckich piękne czasy, kiedy niespodzianie zaopatrywali rynek krajowy w zboże, dyktując własne ceny. Podczas gdy roczny wwóz zboża wynosił w latach 1861—70 3—6 milionów cetnarów, w 1888 rubryka ta podskoczyła do wysokości 12 mil. cetnarów, w 1892/3 18 mil., w 1894 — 26 mil. itd. Jeszcze wyraźniej przemawiają pod tym względem cyfry, gdy idzie o żyto. W r. 1894 wwóz żyta był cztery razy większy, niż w r. 1870. Słowem, jest rzeczą oczywistą, iż dla wyżywienia swej ludności Niemcy zmuszone są uciekać się do usług innych krajów. Na tem stanowisku właśnie znalazło się państwo niemieckie, zawierając 1892 r. traktaty handlowe z Austryą, a następnie z Rumunią. Umowa ta miała między innemi na celu ułatwić austryackiemu zbożu wstęp do Niemiec, chybiła atoli pod tym względem przeznaczenia, gdyż rozwój stosunków wykreślił Austryę z listy państw wywożących zboże. W r. 1890 przewaga wywozu pszenicy nad przywozem wyniosła w Austro-Węgrzech 3 mil. cetnarów. W okresie 1891—5 przeciętnie 1,6 mil., w 1894 — 0,6 mil. itd. W ten sposób wcześniej czy później Niemcy byłyby zmuszone ze względów społecznych z punktu widzenia dobrobytu warstw ludowych otworzyć naoścież wrota dla zboża i żyta rosyjskiego. Zwłaszcza pod względem zapotrzebowania żyta Niemcy zupełnie są zależne od Rosyi, co jaskrawo ilustrują cyfry. W okresie 1888—91 roczny wwóz żyta do Niemiec wynosił przeciętnie 17 mil. cetnarów, w 1894—96 r. 17,6 mil. cet., a w roku wojny celnej z Rosyą, tj. w r. 1892/3 — tylko 7 mil. Pomimo to Niemcy ociągały się z udzieleniem Rosyi przywilejów celnych na zasadzie traktatów przyznanych Austryi i Rumunii, dla których cło od podwójnego cetnara zniżono z 5 marek na 3,50. Nie uczyniono zaś tego z powodów bardzo zrozumiałych. Już umowa z Austryą i Rumunią napotkała silny opór ze strony agraryuszów. Wielcy właściciele ziemscy — drobny rolnik jako producent zbożowy prawie w grę nie wchodzi— chcą zmonopolizować sprzedaż zboża w kraju i wskutek tego niechętnie tolerują napływ obcej pszenicy i żyta. Rząd zaś oczywiście na pretensye swych pupilów odpowiedział potulnie: „Si tu Gajus, ego Gaja.“ Tylko konieczność zmusiła go do częściowych zakusów emancypacyjnych, których skutkiem były wspomniane umowy z Austryą i Rumunią. Był to krok połowiczny, gdyż spożywca niemiecki zyskał bardzo mało na tem, a bardziej jeszcze niefortunny, gdyż zupełnie jawne ignorowanie największego wytwórcy zbożowego w Europie musiało przypomnieć Rosyi słynną zasadę odwetu: klin klinem. To też Rosya, korzystając z obosieczności zaprowadzonej przez siebie w 1891 r. podwójnej taryfy, zaczęła przymykać furtkę celną dla towarów niemieckich. Niemcy odpowiedzieli pięknem za nadobne i w ten sposób wybuchła słynna wojna celna, którą przemysł niemiecki (o czem później) byłby przypłacił życiem, gdyby Caprivi, mąż trzeźwy a zarazem wyzuty z sympatyj i przesądów kastowych, nie był zawarł w 1894 r. traktatu, stanowiącego epokę w rozwoju przemysłowym Niemiec. Zobaczymy teraz, jaką korzyść wyciągnął lud niemiecki z tej umowy, potem zaś pokażemy, iż odnowienie traktatu handlowego z Rosyą jest dla społeczeństwa niemieckiego, jako wytwórcy, również kwestyą bytu. Podczas gdy w r. 1892 zwieziono z Rosyi do Niemiec produktów rolnych za 109 mil. marek, to w 1897 wwóz ten wyniósł 311, w 1898 — 341 mil. Import pszenicy w 1892 przedstawiał wartość 39 mil. marek, 1897 — 108, w 1898 — 120, a w r. 1900 — 172 mil. marek. Przytoczone cyfry wwozu świadczą niezaprzeczenie, iż rozwój rzeczy wyznaczył Rosyi rolę karmicielki państwa niemieckiego. Pomimo iż od r. 1878 śrubę celną wciąż kręcono do góry, produkcya zboża nie zrobiła w Niemczech żadnych postępów. Stosunek usług obcych w zestawieniu ze skutecznością samopomocy krajowej da się przedstawić w sposób następujący. W r. 1896 własny zbiór miał się do wwozu zbożowego, jak 11,4 do 2 7, w 1897 r. jak 12,4 do 2, w 1898 jak 11,9 do 2,4, w 1899 jak 13 2 do 1,9. Jeśli potrącić koszty zasiewów, to prawie 20% spożywanego zboża jest pochodzenia zagranicznego. Fakt ten w stosunku do Rosyi stanie się bardziej wymownym, jeśli uwzględnimy, iż Rosya dostarcza prawie całą ilość żyta wwożonego do Niemiec. W r. 1900 (podług danych urzędowej statystyki) spożyły Niemcy żyta zagranicznego 17,8 mil. cetnarów, a w tej liczbie rosyjskiego 16,6! Jak słusznie zaznacza magistrat berliński w petycyi, wystosowanej obecnie do sejmu rzeszy, żyto jest przeznaczone przeważnie dla ludu pracującego. Wojna celna z Rosyą, albo podwyższenie obecnie już istniejącego cła dla dogodzenia roszczeniom magnatów pruskich zaciążyłaby przedewszystkiem na zgarbionych od nędzy barkach ludu. Rozumiemy tedy— o czem szczególowiej później — dlaczego ze wszystkich stronnictw partye lewicy bronią najgorliwiej i najzawzięciej odnowienia traktatu handlowego z Rosyą w r. 1904. Idzie tu wszakże

---

2)

RUDYARD KIPLING.

GRABARZE.

(Z DRUGIEJ KSIĘGI PUSZCZY)

To nie niewdzięczność, bynajmniej. Po prostu nie myślą o innych. Zauważyłem jednak, leżąc na swem stanowisku poniżej brodu, że stopnie, prowadzące na nowy most, nadzwyczaj utrudzają zarówno starców, jak i małe dzieci. Mniejsza o starców, naturalnie, za to prawdziwie ubolewam nad tymi drobnymi, tłuściutkimi dziećmi. Poczekajcie, pewien jestem, że jak tylko most trochę spowszednieje, zobaczymy znowu gołe, brunatne nogi mego ludu, po dawnemu odważnie pluskające w brodzie. A wtedy stary Mugger znowu szanowanym będzie.

— Jednakże zdaje mi się, że jeszcze dziś w południe widziałem wianki z kaczeńca, bujające się na wodzie u krańca grobli— rzekł Adjutant.—A przecie wianki z kaczeńca w całych Indyach są oznaką czci.

— Niestety, była to omyłka. Żona przekupnia łakoci z każdym rokiem coraz bardziej wzrok traci i nie umie już odróżnić kłody ode mnie, Muggera z nad grobli. Spostrzegłem jej omyłkę, gdy już rzuciła girlandę, leżałem bowiem tuż przy grobli, i gdyby była ruszyła się o jeden krok dalej, wytłomaczyłbym jej, że pomiędzy kłodą a mną istnieje pewna różnica. W każdym razie miała dobre zamiary, a w ofierze należy przedewszystkiem cenić intencyę.

— Na co się przydadzą wianki z kaczeńca temu, kto leży na śmietniku — odezwał się Szakal, polując na pchły, ale jednocześnie śledząc przezornie ruchy Dobrodzieja Nędzarzy.

— Zapewne, ale nie zaczęto jeszcze kopać dołu na śmietnik, na którym ja leżeć będę. Pięć razy widziałem już, jak rzeka odbiegała od wioski, pozostawiając po sobie nowe pola na końcu ulicy. Pięć razy widziałem, jak wioska zabudowywała się znowu na brzegu i wiem, że pięć razy zobaczę to jeszcze. Nie jestem jakimś niecnym, jak to mówią, włóczącym się za rybami—dziś w Kasi, a jutro w Prayagu—Gawialem, lecz jestem wiernym i stałym stróżem brodu. Nie darmo, moje dziecię, wieś nosi imię moje, a kto wytrwale czeka, ten, jak powiadają, w końcu doczeka się musi nagrody.

— Oj, czekam ja długo, bardzo długo, prawie całe życie, a za nagrodę mam razy i rany — rzekł Szakal.

— Ho, ho, ho!— wrzasnął Adjutant:

W sierpniu się szakalik rodzi;
We wrześniu, gdy spadły deszcze,
On rzecze: „Takiej powodzi
W mem życiu nie było jeszcze!“

Stanowi to brzydką właściwość Adjutanta, że najniespodziewaniej w świecie doznaje chwilami napadu jakiegoś kurczu czy drgawek w nogach, a wtedy, nie bacząc na swą postawę najpoważniejszego z żórawi, mających wogóle wygląd ze wszech miar przyzwoity, wpada w szalony, dziki taniec, drepcze na swych powykoślawianych szczudłach, rozwija na poły skrzydła i kiwa łysą głową, a jednocześnie z najwścieklejszymi skokami łączy najzjadliwsze docinki. Było tak i tym razem, ale z ostatniem słowem przytoczonej piosenki stanął znowu w dawnej pozycyi, ze stokroć poważniejszą miną, niż przedtem.

Szakal podkulił ogon, chociaż bowiem skończył już był trzy lata, jednak nie wypadało mu czuć się obrażonym przez osobę, mającą dziób na półtora łokcia długi i umiejącą go używać na podobieństwo dzirytu, a jakkolwiek Adjutant uchodził za marnego tchórza, Szakal jeszcze go pod tym względem przewyższał.

— Trzeba pożyć na świecie, chcąc nabrać doświadczenia — ciągnął Mugger — i to ci powiem jeszcze: małe szakale są zwykłą rzeczą, moje dziecię, ale taki Mugger, jak ja, zwykłym nie jest. Pomimo to nie pysznię się, bo wiem, że duma do zguby prowadzi. Uważam, że takie jest przeznaczenie, a na przeznaczenie żadna istota pływająca, pełzająca lub biegająca sarkać nie powinna. Jestem zadowolony ze swego losu. Przy pewnem szczęściu, dobrym wzroku i stałej zasadzie zapewniania sobie naprzód odwrotu, nim się zapuszczę do jakiej odnogi lub zatoki, wiele zdziałać można.

nietylko o zboże. Traktat handlowy z roku 1894 udzielił bodźca wywozowi innych artykułów do Niemiec. Przedewszystkiem mamy inwentarz. W r 1892 wartość bydła i produktów zwierzęcych, przywiezionych z państwa rosyjskiego równała się 40 milionom, 1897 r. 52 mil., w 1898 r. 59 mil. marek. W tej liczbie — co *nas* obchodzi przedewszystkiem — wywieziono jaj w r. 1892 za 28 mil., w 1897 r. za 30 mil,. w 1898 za 35 mil. Wywóz bydła podniósł się w tym samym okresie z 19 do 23 mil., gęsi — z 17 do 23 mil., wreszcie drzewa z 76 do 124 mil Rosya dostarcza $^1/_3$ część drzewa i $^1/_4$ skór. Państwo rosyjskie zatem odgrywa względem Niemiec nietylko rolę pierwszorzędnego śpichrza zbożowego, ale nadto pełni obowiązki dostawcy wszelkich produktów rolnych oraz wielu materyałów surowych, podlegających przeróbce fabrycznej w Niemczech. Co ważniejsza, Rosya dowiodła, iż jest w stanie zaofiarowaniem swem dotrzymywać kroku wzrastającym potrzebom ludności i produkcyi niemieckiej. Tak przedstawia się sprawa traktatu handlowego z punktu widzenia potrzeb spożywcy niemieckiego. W artykule następnym zobaczymy, czem jest Rosya dla wytwórcy niemieckiego. Po zestawieniu tych obydwu rubryk damy wreszcie rzut oka na stanowisko zajęte w omawianej tu sprawie przez stronnictwa polityczne i miarodajne grupy społeczne.

H. F.

Tydzień polityczny. W Pekinie nie zamknięto jeszcze regestru barbarzyństwa w imię cywilizacyi. Postanowiono jeszcze dwunastu mandarynów prowinczonalnych ukarać śmiercią, a kilkudziesięciu wypędzić z urzędów. Nienasycony głód d. 26 z m. dostał w samym Pekinie strawę z dwóch mandarynów głównych, Czyhsiena i Hsiu-Czenga, których ścięto; dwóch innych samobójstwem z musu zakończyło życie: a przedtem już przecież wieszano, ścinano i duszono. Dwór powraca jakoby do Pekinu; już nawet Jenszy-kai gromadzi dla niego zbrojny orszak z kilkunastu tysięcy ludzi. Ma to ułatwić pokój. Prawdopodobnie żądają tego Niemcy. Waldersee miał sam z Hsi-ngan-fu zabrać cesarza, ale opór Rosyi, a zapewne i Francyi, udaremniając wyprawę, wydarł i feldmarszałkowi przyszłe laury wojenne Niemcy jaknajsurowiej obstają przy zburzeniu fortów, ustanowieniu europejskiej drogi warownej, urządzeniu z poselstw pekińskich jednej wielkiej twierdzy, wstrzymaniu egzaminów, rozwiązaniu Tsung li-Jamenu, zniesieniu ceremoniału na audyencyach u cesarza, zakazie broni i amunicyi. Wysokości kosztów wojennych jeszcze nie ustalono.

W komisyi Izby deputowanych w Wiedniu, rozpatrującej akt ślubny Franc. Ferdynanda d'Este, socyaliści zażądali złożenia parlamentowi tajnych praw domowych Habsburgów. Istotnie, jakieś prawa tajne mogły się jeszcze kołatać po Austryi absolutnej, ale na ciele konstytucyjnej są wrzodem. D. 2 b. m. Izba Panów uchwaliła adres do korony; odznaczyli się mowami Czartoryski Jerzy i Lobkowic; pierwszy za federacyą i konstytucyonalizmem. P. Koerber majaczył coś o rozstajnych drogach. Zdaje się że sam na nich stanął i wybiera złą. D. 28 z. m. w Izbie Niemcy w żywe oczy wyparli się Austryi. Ich Stein powiedział: „Głupiec tylko jest dziś patryotą w Austryi." Po spokojnem posiedzeniu d. 1 b. m. we wtorek rozpoczęła się praca poważna — na jak długo? Pośredniczyli między rządem a Czechami Polacy: i pośrednicy i przejednani otrzymali łapówki — z ustępstw i dobrodziejstw ekonomicznych.

Budżet wojskowy rządu angielskiego na rok 1901—2 jest olbrzymim: 87,915,000 f. st., z tego 58,230 tys. na koszta wojny. Stan liczebny armii 450,000; ale po załatwieniu się z Boerami i Chińczykami stale będzie tylko 220,000. Dodatkowo jeszcze pójdą 3 miliony na armię i 2 na flotę.

Od początku wojny (11 października 1899 r.) do d. 1 lutego r. b. rząd angielski wysłał do Afryki około 300,000 ludzi; z tego jest tam tylko około 215,000. W boju poległo 3,680, z ran zmarło 16,156, z chorób 9,308, niezdatnych do boju 40,798, w szpitalach 14,131.

Izba gmin uchwaliła adres d. 26 z m Napróżno Dillon bronił ludzkości, piętnując srogość dowódców, okrętne palenie, burzenie osad i zapędzanie kobiet, starców i dzieci w niewolę. Broderick, minister od wojny, dowodził, że karano tylko jawnych zdrajców — wyraz przynoszący ministrowi angielskiemu zaszczyt Haynauów.

We Francyi Deroulede wygadał się: dnia 28 lutego 1899 r., w dzień pogrzebu Faure'a, był rzeczywisty spisek, o którym prawdopodobnie wiedział Dupry, ówczesny prezes. Dopominają się też oddania go pod sąd. Zurlinden przez przestawienie wojsk na ulicach jakoby zapobiegł wybuchom. Izba unieważniła mandaty Deroulede a i jego wspólnika w owym dniu, Haberta. Podczas rozpraw nacyonalista Firmin Faure zelżył gabinet i Izbę, która za to odsunęła go od obrad.

Rząd niemiecki na wyprawę chińską zażądał od Rady związkowej 120,682,000 marek. D. 28 z. m. p. Herbert Bismarck piorunował w sejmie niemieckim na Polaków za „uciskanie" Niemców w Poznańskiem. Pomagali mu narodowcy liberalni.

Petersburg, 1 marca. (Tel. Ag. Ros.). Admirał Aleksiejew telegrafuje Gen. Leniewicz z powodu cofnięcia naszej straży z linii kolei Jangton-Szanhai-Kuan donosi: „Wszędzie spotykałem niepodzielne uczucia, okazywane przez Chińczyków przy pożegnaniach z żołnierzami rosyjskimi. Wszędzie wychodziły procesye, ofiarowywano chleb i sól i podejmowano wojsko. Do mnie również przybywały deputacye Chińczyków, a z wyrażeniem wdzięczności dla naszych żołnierzy rosyjskich za obronę ich domów od grabieży. Wszędzie słychać te same słowa, że dotychczas tylko żołnierze rosyjscy byli prawdziwymi obrońcami Chińczyków i z chwilą odejścia Rosyan zostają pozbawieni swych obrońców i nastają dla nich bardzo ciężkie czasy. Prawie w każdym punkcie zwracano się do mnie z prośbą o pozostawienie chociaż dwóch żołnierzy rosyjskich dla obrony. O takich zaletach naszego żołnierza i o takich uczuciach szacunku i zaufania do naszego żołnierza mam sobie za obowiązek donieść JW. Panu. Wszędzie, gdzie tylko było można, uwzględniłem prośby Chińczyków."

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZE ŚWIATA RZEMIEŚLNICZEGO.

Pomyślny zwrot w sekcyi rzemieślniczej.— Projekt nowego typu przedsiębiorstwa ekonomicznego. — Kasa emerytalna. — Klub rzemieślniczy. — Rynki wschodnie. — Rynki miejscowe i potrzeba organizacyi wewnętrznej.

Po wojnie domowej, po długim okresie jałowym sekcya rzemieślnicza zaczyna pracować i wprowadzać na porządek dzienny sprawy żywotne, doty-

---

— Słyszałem, że kiedyś nawet Dobrodziejowi Nędzarzy zdarzyło się popełnić fatalną omyłkę — wtrącił przebiegle Szakal.

— W istocie, ale i wtenczas los mi dopomógł. Byłem wtedy dopiero wyrostkiem... będzie temu już więcej niż trzy głody. Na prawą i lewą stronę Gangesu! — pysznie były zaludnione brzegi w tych czasach. Tak, byłem jeszcze młody i nierozważny. Jakże się cieszyłem, gdy nastąpiła powódź! Wtedy niewiele mi było potrzeba do szczęścia. Powódź zalała wioskę, a ja przepłynąłem groblę i udałem się wgłąb lądu, aż na pola ryżowe, wspaniałym szlamem pokryte. Tego wieczora, pamiętam, znalazłem parę bransoletek — ze szkła, które mi niemało sprawiły ambarasu. Tak, bransoletki szklane i trzewik, jeżeli mnie pamięć nie myli. Należało strząsnąć oba trzewiki, ale się śpieszyłem, bo byłem głodny. Potem nabrałem w tem wprawy. Tak. Otóż, najadłszy się, wypoczywałem, w chwili jednak, gdy należało mi wrócić do rzeki, powódź opadła i musiałem wędrować po błocie przez środek głównej ulicy. Tak, ja, we własnej osobie. Cały mój lud wyległ na ulicę, kapłani, niewiasty, dzieci, a ja rzucałem im spojrzenia pełne życzliwości. Błoto nie nadaje się zupełnie do napadu. Jakiś żeglarz zawołał: „Chwytajcie siekiery i zatłuczcie go, boć to jest Mugger z nad brodu!" — „Żadną miarą" — odparł bramin — „czy nie widzicie, jak odpędza powódź przed sobą, jest to opiekuńczy duch wioski!" Na to słowa zarzucono mnie kwiatami, a ktoś powziął myśl szczęśliwą napędzić koźlę w poprzek mojej drogi.

— Jak dobrze, jak cudownie... smakuje koźlę! — westchnął Szakal.

— Za wiele kłaków, a wrzucone w rzekę prawie zawsze kryje w sobie hak zadzierzysty. Atoli tamto koźlę przyjąłem i tryumfalnie zstąpiłem do grobli. Później, los zesłał mi tego żeglarza, któremu się zachciało rozciąć mój ogon siekierą. Statek jego osiadł na mieliźnie, której wy nie pamiętacie...

— Nie jesteśmy tu wszyscy szakalami, — rzekł Adjutant. — To pewno będzie ta mielizna, która się utworzyła w miejscu, gdzie zatonęły barki z kamieniami podczas ogromnej suszy, — długa mielizna, co przetrwała trzy powodzie?

— Dwie ich było — odpowiedział Mugger — wyższa i niższa.

— Prawda, zapomniałem! Rozdzielało je wyżłobienie, które potem wyschło również, — zawołał Adjutant, chcąc się popisać dobrą pamięcią.

— Otóż na niższej mieliźnie osiadła łódź mego przyjaciela. Spał właśnie na przedzie i nawpół przebudzony skoczył w wodę po pas, — nie, nawet po kolana tylko, żeby ją zepchnąć... Pusta łódź popłynęła, ale zatrzymała się znowu na najbliższym zakręcie rzeki. Nie spuszczałem jej z oczu, ponieważ wiedziałem, że nadejdą ludzie, ażeby ją na brzeg wyciągnąć.

— No i cóż, przyszli? — zapytał Szakal, drżąc ze wzruszenia, gdyż polowanie na tak wielką skalę podniecało jego wyobraźnię.

— Przyszli, i tam, i niżej jeszcze. Nie szedłem dalej, ale w tem miejscu złowiłem trzech jednego dnia, samych utuczonych *mandżysów* (wioślarzy), i gdyby nie ostatni, przy którym się trochę zaniedbałem, ani jeden okrzyk nie byłby ostrzegł znajdujących się na brzegu.

— Co za szlachetny sport! Lecz ileż wymaga zręczności i przezorności! — zawołał Szakal.

— Nie potrzeba zręczności, moje dziecię, tylko zastanowienia. Trochę zastanowienia w życiu, to jak sól do ryżu, mawiają żeglarze, to też ja zawsze zastanawiałem się głęboko. Mój krewny, Gawial rybojad opowiadał mi, jakie to trudne rzemiosło — łowić ryby, jak każda ryba różni się od innej, jak on musi je poznawać wszystkie razem i każdą z osobna. Zgadzam się, że to jest sztuka, ale z drugiej strony, mój krewny Gawial żyje pośród swego ludu. Tymczasem moi ludzie nie pływają gromadą, wystawiwszy pyski nad wodą, jak *Rewa*, nie wyskakują co chwila na powierzchnię wody, przewracając się z boku na bok, jak *Mohoo*, albo mała *Chapta*, nie tłoczą się na mieliznach po każdej powodzi, jak *Batchua*, albo *Chilwa*.

— Samo smakołyki, — zauważył Adjutant, mlaskając dziobem.

— Kuzyn utrzymuje to samo i nie mało się trudzi nad ich łowieniem, ale one nie wdrapują się na brzegi, umykając przed jego śpiczastym nosem. Zupełnie co inne-

czące istotnych potrzeb bytu licznych rzesz ludności. Ten zwrot pomyślny daje się zauważyć mniej więcej od Nowego Roku. Przedewszystkiem rzemieślnicy nasi zajęli się bardzo szczerze sprawą zabezpieczenia bytu swych inwalidów i ich rodzin. Niezależnie od tego szukają także sposobów, ułatwiających istnienie ubogim warstwom rzemieślniczym. Wreszcie ujawniają coraz wyraźniej dążność do pracy zrzeszonej, coraz większe uświadomienie w zakresie rozszerzenia widnokręgów oświaty i podniesienia poziomu techniki wytwórczej. Wprawdzie od dobrych chęci i zabiegów daleko jeszcze do owoców dojrzałych, ale bądź co bądź ta praca jest objawem pomyślnym, który każe przypuszczać, że jeżeli nie wszystkie starania, to przynajmniej drobna ich cząstka da z czasem wyniki pożądane.

Jeden z inicyatorów, p. Borzęcki, usilnie stara się zjednać współdziałanie rzemieślników w sprawie stworzenia nowego u nas typu przedsiębiorstwa: sklepu opartego na zasadach współdzielczych, który dostarczałby ubogim warstwom ludności pracującej najniezbędniejszych przedmiotów na kredyt i tanio. Tym sposobem walczyłby z lichwą tandeciarską. Ażeby jednak ta walka była skuteczną i żeby przedsiębiorstwo takie mogło istotnie przynosić pożytek tym wszystkim, dla których będzie stworzone, należy rozpocząć je z kapitałem znacznym. P. Borzęcki oblicza, że wystarczy 10,000 rb. Może to za mało, ale gdyby i taką sumę zdołano zebrać, byłby to już tryumf znaczny. Olbrzymia dzielnica Warszawy, zaczynając od Alei Jerozolimskiej aż po za Chłodną z przyległemi ulicami, posiada mnóstwo fabryk i warsztatów rzemieślniczych, zatrudniających przeszło 7,000 robotników. Tak liczną rzeszę w rozległej dzielnicy ma obsłużyć tylko ten jeden sklep projektowany! Już więc w zarodku projekt posiada wielkie braki. Naszem zdaniem „nowego typu przedsiębiorstwa“ nie należy zogniskowywać w jednym sklepie. Powinno ono posiadać liczne filie, rozsiane we wszystkich dzielnicach robotniczych; a na to trzeba nie 10,000, lecz setek tysięcy rubli. P. Borzęcki, chcąc zainteresować ogół rzemieślników, wytworzyć śród nich solidarność, opartą na odpowiedzialności wzajemnej, chce nadać projektowanemu przedsiębiorstwu charakter organizacyi współdzielczej. Jakkolwiek zadanie to jest bardzo trudne do przeprowadzenia, należałoby jednak wcielić je w czyn chociaż sposobem próby. Przedsiębiorstwo, rozpoczęte z kapitałem 10,000 rb., może byłoby zarodkiem czegoś większego, obejmującego nie jedną dzielnicę, lecz całe miasto i przedmieścia.

Sprawa zabezpieczenia bytu inwalidów rzemieślniczych, roztrząsana już kilkakrotnie, nie doprowadziła jeszcze do żadnych konkretnych wniosków. Rzemieślnicy chcą stworzyć coś w rodzaju kasy emerytalnej; ale wszystkie projekty podano w zarysach bardzo niejasnych, chaotycznych. Z wielu zasługuje na wyróżnienie projekt p. Zimermana, i to dla tego tylko, że jest wyraźny. Wnioskodawca zaleca stworzenie kasy przezorności na zasadach następujących: Rzemieślnicy, zarabiający 40 rb. miesięcznie, składając 5% swych zarobków, zbiorą kapitał dość znaczny, z którego w 60-ym roku życia będą mogli pobierać zapomogi w stosunku połowy swych zarobków. Wdowy po nich będą pobierały 25%, dzieci 15%. Podczas choroby członek nie płaci składek. Ażeby można było rozpocząć działalność odrazu z kapitałem odpowiednim, kasa nie powinna być czynną przez dwa lata od chwili założenia.

Projekt ten o tyle jest sympatyczny, że ma na myśli zabezpieczenie bytu nie tylko inwalidów, lecz wdów i sierot. Dziś liczba wdów i sierot po rzemieślnikach jest olbrzymia i z każdym rokiem wzrasta coraz bardziej. Panuje śród nich okropna nędza, a dzieci pozostawione na pastwę głodu i ciemnoty, obarczają społeczeństwo i zniżają jego produkcyjność.

Warto, ażeby rzemieślnicy nasi dobrze przyjrzeli się stosunkom zagranicznym i na podstawie istniejących tam organizacyj stworzyli projekt doskonały, który dałby się u nas wprowadzić w życie pomyślnie.

Jeden z członków prezydyum sekcyi rzemieślniczej, p. Przyszychowski, już się zajął taką pracą porównawczą i zalecił jako wzór dla naszych rzemieślników, stowarzyszenia istniejące w państwie austryackiem. Główne ich cele są: kształcenie, odczyty, kasa pogrzebowa dla członków i ich żon, udzielanie pomocy w razie niedołęztwa i nadzwyczajnych wypadków (jak np. powodzi), pomoc rodzinom, pozostałym po członkach, wyszukiwanie posad i udzielanie wsparcia członkom pozostającym chwilowo bez posad. Istnieje nawet pewien fundusz na święta wielkanocne.

Ponieważ sprawa zabezpieczenia bytu będzie jeszcze niejednokrotnie roztrząsana na posiedzeniach sekcyi rzemieślniczej, można więc mieć nadzieję, że ostatecznie inicyatorowie dojdą do jakichś zasad organizacyi właściwej i możliwej w naszych stosunkach.

Dobra jest myśl stworzenia klubu rzemieślniczego, podana jeszcze przed kilku laty przez szewca Mróza. Obecnie projekt ten wskrzeszono i postanowiono przedsięwziąć odpowiednie starania. Instytucye takie istnieją z powodzeniem w Petersburgu i Rydze. Obecnie inicyatorowie pp. Nowicki, Niemczyński i Blechszmidt, chcą się wzorować na ustawie klubu rzemieślniczego w Petersburgu. Zadaniem takiej instytucyi ma być: współdziałanie w łączeniu się rzemieślników cechowych, zaznajamianie ich z nowoczesną techniką rzemiosł, gustem i wymaganiami ogółu spożywców, uprzystępnianie środków kształcenia się, a więc urządzenie biblioteki dzieł specyalnych, kolekcye modelów, pogadanki (z modelami i rysunkami). Dla pożytecznego i przyjemnego spędzania chwil wolnych od pracy w klubie takim mogą być urządzane przedstawienia, bale, odczyty literackie itd.

Klub tego rodzaju, istniejący w Rydze (*Gewerbeverein*), ogromnie się rozwinął i wykazał swą wielką żywotność. Posiada duży dom własny, urządzony specyalnie, czytelnię bardzo zasobną, salę rysunkowe itd. Warto, ażeby inicyatorowie porównali obie ustawy i zaczerpnąwszy z nich wszystko, co jest najlepszego, opracowali cały zakres zadań instytucyi, odpowiadającej całkowicie potrzebom naszych rzemieślników.

Oddawna ujawnia się u nas znamienna dążność do zdobycia rynków dalekiego Wschodu. Były to wszakże usiłowania pojedyncze i kończyło się niejednokrotnie na tem, że wytwórcy, nie mogąc podołać zamówieniom, tracili zaufanie i klientelę forsownie zdobytą, a na dobrej sławie niektórych rzemiosł warszawskich jechała

---

go moi ludzie. Ich życie upływa na lądzie, w domach, pomiędzy bydłem. Ja muszę wiedzieć dokładnie, co robią i co zamierzają robić, i tak dopiero, dodając ogon do trąby, budować, jak oni mówią, całego słonia! U drzwi domu zawieszono zieloną gałązkę, albo pierścień żelazny — stary Mugger już wie, że w tym domu urodził się chłopiec, który będzie musiał kiedyś przyjść bawić się na grobli. Dziewczyna wychodzi za mąż — stary Mugger wie o tem, albowiem widzi ludzi, roznoszących upominki w tę i ową stronę; i ona również musi przyjść na groblę wykąpać się przed weselem, a wtedy — on jest na swojem miejscu. Rzeka zmieni łożysko i utworzy nowe role tam, gdzie przedtem były same piaski — i o tem wie Mugger stary.

— Ta ostatnia wiadomość nie na wiele się chyba przyda, — rzekł Szakal. — Nawet za mojego krótkiego żywota rzeka już raz się przeniosła.

(Rzeki indyjskie bezustannie prawie zmieniają koryto i czasami w ciągu jednego lata odbiegają od pierwotnego łożyska na dwie lub trzy mile, zatapiając pola z jednego brzegu i pokrywając je żyznym iłem ze strony przeciwnej).

— Nie może być użyteczniejszej wiadomości, gdyż nowe grunta wywołują nowe swary. Mugger wie o tem — oho! — wie doskonale! Jak tylko woda wsiąknie w ziemię, on wczołguje się w maleńką zatokę, gdzie, jak sądzą ludzie, pies nie mógł by się zanurzyć—i czeka. Wkrótce nadchodzi rolnik i, macając pulchny ił palcami gołych nóg, rozpowiada, że sobie nasadzi tu ogórków, a tam melonów na nowym gruncie, którym go obdarowała rzeka. Na to nadchodzi drugi, który powiada, że będzie sadził cebulę, kartofle, trzcinę cukrową w tych a tych miejscach. Wymijają się wzajemnie jak statki na wodzie i spoglądają na się z ukosa z pod wielkich niebieskich zawojów. Stary Mugger patrzy i czeka. Oto przemawiają do siebie; jeden drugiego „bratem“ nazywa; idą ustanowić wspólne granice swych nowych posiadłości. Mugger pośpiesza za nimi z miejsca na miejsce, płaszcząc się o ile może pod mułem. W tem zaczynają się sprzeczać! Wymyślają sobie gromkiemi słowy! Zrywają sobie z głowy zawoje! Zamierzają się na siebie *lathisami* (maczugami), — i koniec końców jeden z nich wywija koziołka w powietrzu i wpada w muł, a drugi ucieka. Powróciwszy, zastaje spór załatwionym, jak o tem świadczy pozostały na placu okuty w żelazo kij bambusowy strony przegrywającej. Oni jednak nie dziękują za to Muggerowi. Natomiast zaczynają krzyczeć: „Mord! mord!“, i obie rodziny wstępują w walkę na kije po dwudziestu z każdej strony. O, to jest lud bitny, ci moi Dżatowie malwajscy z Bét. Tłuką się nie na żarty, a gdy walka ustanie, stary Mugger oczekuje w dole rzeki, tam, daleko, zkąd już wsi nie widać, po za temi zaroślami *kikarów*. Tam przy blasku gwiazd nadchodzą moi barczyści Dżatowie w ośmiu albo dziewięciu, dźwigając zmarłego na marach. Są to ludzie starzy, siwobrodzi, o głosach tak głębokich, jak mój. Rozpalają małe ognisko — o! znam ja je doskonale! — ciągną tytoń i kiwają głowami to do siebie w kółko, to na stronę, w kierunku leżącego na brzegu trupa. Mówią, że się w tę sprawę wda prawo angielskie ze stryczkiem, że ród winowajcy będzie pohańbiony, skoro go powieszą na głównym dziedzińcu więzienia. Na to przyjaciele zmarłego odpowiadają: „A niech go powieszą!“ — i ta sama rozmowa rozpoczyna się na nowo po raz drugi, trzeci, a nawet dwudziesty przez całą długą noc. Wreszcie jeden z nich rzecze: „Walka była godziwą. Przyjmijmy okup nieco większy, niż ofiarowuje zabójca, i niech o tem nie będzie mowy!“. Zaczynają się targi o cenę wykupu, ponieważ zmarły był mężem w pełni sił i wielu pozostawił synów. Nakoniec przed *amratvela* (świtem) osmalają go zlekka według zwyczaju i zmarły przechodzi do mnie. On z pewnością nic więcej o tem nie powie. Ach, moje dzieci, Mugger wie dużo, dużo... Moi Dżatowie malwajscy są dzielnym ludem!

— To są sknery, ich dłonie zawsze są szczelnie zawarte dla mego podgardla, — zakrakał Adjutant. — Przysłowie powiada, że po Malwajczyku nikt się nie pożywi.

(C. d. n.).

Tłom. *J. Czekalski.*

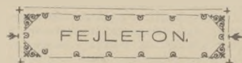
tandeta i ostatecznie psuła opinię rzemieślnikom sumiennym.

Obecnie zniesienie portu wolnego we Władywostoku dało pochop szewcowi warszawskiemu, p. Kłobukowskiemu do projektu organizacyi handlowej, która miałaby na celu skorzystanie z chwili przełomowej i zdobycie rynku we Władywostoku, a następnie i w innych ogniskach życia na Wschodzie. Stowarzyszenie czy spółka powinna się zorganizować w ten sposób, ażeby do jej administracyi weszli kupcy fachowi. Musi ona być oparta na asekuracyi wzajemnej od strat, t. j. po rocznych obrotach straty poniesione wskutek niewypłacalności odbiorców mają być rozdzielone pomiędzy wszystkich członków w stosunku do obrotów. Spółka natychmiast po zawiązaniu się powinna wysłać do Władywostoku przedstawiciela, celem zbadania na miejscu, jakie towary i w jakich gatunkach mogą tam znaleźć zbyt. Stosownie do tego przedstawiciel przysyłałby do Warszawy informacye i zamówienia, które zarząd spółki dzieliłby pomiędzy członków swoich w stosunku do udziałów lub możności.

Ta dążność naszych rzemieślników do zdobycia rynków dalekiego Wschodu jest wielce znamienną. Usiłują oni utorować sobie drogi tam, gdzie jeszcze przemysł wielki nie rozpostarł swego panowania i gdzie wymagania spożywców nie są jeszcze tak wybredne, jak w krajach o wyższej kulturze. Pomimo wszakże tej mniejszej wybredności, trzeba jeszcze brać pod uwagę to, że wymagania owe są odrębne, inne, do których, przynajmniej w pewnym zakresie trzeba nagiąć produkcyę. Niewątpliwie rzemiosła nasze pod wielu względami stoją dość wysoko i mają opinię ustaloną. Obuwie warszawskie słynie szeroko i ustępuje tylko berlińskiemu; rękawiczki również wyrobiły sobie sławę zasłużoną; tak samo wiele wyrobów skórzanych. Wogóle wszakże nasze wyroby rzemieślnicze nie odpowiadają potrzebom istotnym, a wiele z nich zupełnie ustępuje tanim, dobrym i gustownym wyrobom fabrycznym. To jest główna przyczyna, dla czego przedmioty produkcyi rzemieślniczej nie mogą mieć szerokiego odbytu na rynkach miejscowych. Następnie, rzemieślnicy nasi nie starają się zaspakajać gustu i wymagań spożywców, a w wykonaniu zamówień rzadko bywają akuratni. To też pomimo, że na niektórych polach produkcyi panują jeszcze rzemiosła niepodzielnie, bez obawy groźnego współzawodnictwa przemysłu fabrycznego, wyroby rzemieślnicze nie mają należytego powodzenia i usiłują szukać rynków obcych. A jednak gdyby rzemiosła dążyły do zrzeszenia sił nietylko handlowych, lecz i wytwórczych, gdyby tym sposobem wyrobiły sobie większą sprawność, wyższą technikę i tańszą produkcyę, niewątpliwie znalazłyby na rynkach krajowych znacznie większy odbyt, wyparłyby tandetę zagraniczną i mogłyby jeszcze przez długi czas opierać się zagładzie, grożącej ze strony przemysłu wielkiego. Zamiast tych udoskonaleń wewnętrznych, gruntownych, rzemieślnicy starają się szukać łatwiejszych dróg zbytu na rynkach bardzo odległych i mniej wybrednych. Przy usilnych zabiegach niewątpliwie w drobnej cząstce mogliby osiągnąć cel zamierzony; ale tutaj potrzebne są nie tylko spółki handlowe, lecz i wytwórcze. Potrzebne są przy tem ścisłe obliczenia kosztów dostawy, które niekiedy są tak znaczne, że wytwórcy, chcąc mieć umiarkowane zyski od przedmiotów rzetelnie wykonanych, musieliby pobierać ceny, odstraszające nawet zamożnych nabywców.

Owszem, niech rzemieślnicy nasi starają się korzystać z wszelkich bodźców, niech się organizują i myślą o rozszerzeniu swego zbytu, ale niech zarazem pracują nad gruntownem udoskonaleniem się. Dopomógłby im w tej mierze znacznie klub projektowany. Dobrze byłoby także zgromadzić odpowiedni fundusz do wysyłania rzemieślników za granicę celem dostatecznego wyspecyalizowania się. To, co się robi w tej mierze dotychczas, jest kroplą, która ginie w fali potrzeb. Na stworzenie Muzeum, podobnego do takich instytucyj za granicą, rzemieślnikom naszym, przynajmniej w obecnej chwili, brak środków. Niechże więc przynajmniej ułatwiają oni kształcenie się za granicą możliwie największej liczbie młodzieży. Zadaniem tem mógłby się zająć w przyszłości również projektowany klub rzemieślniczy.

Zen. Piet.



PAMIĘTNIK.

Zaniedbana szkoła.

Najważniejszą instytucyą społeczną jest niewątpliwie szkoła, jeżeli nie jakaś konkretna, to w każdym razie idealna, pożądana, o której ludzie marzą i do której dążą. Dla narodów ucywilizowanych nic nie może być droższego, nic godniejszego ich najczulszej troski i najenergiczniejszych starań, nad ten przybytek, w którym młode pokolenia nieprzerwanym łańcuchem czerpią swą wiedzę i zasady moralne, w którym wychowują się zarówno przyszli mistrze, jak przyszli obywatele kraju. Wszędzie też, na całym obszarze kultury, zwróciły się zabiegi i wysiłki społeczeństw ku zapewnieniu oświacie najlepszych warunków rozwoju. Jakie te warunki są już dziś w Niemczech, Szwajcaryi, Szwecyi, Holandyi, o tem mogą mieć pojęcie zaledwie ci, którzy je tam zbadali. Rzecz naturalna, ponieważ szkoła w dzisiejszem jej pojęciu nie jest jedynie bazarem, w którym młodzież nabywa porcye fizyki, łaciny, geografii i innych artykułów naukowo-spożywczych, lecz także zakładem wychowawczym, a więc hygienicznym, przeto ta strona jej działalności posiada pierwszorzędne znaczenie. Nie może być obojętną dla społeczeństwa kwestya, w jakich pomieszczeniach młodzież przebywa po sześć godzin dziennie i jakim wpływom fizycznym podlegają jej organizmy.

Zwrócenie uwagi na tę sprawę należy do wielkich zasług i wybitnych cech ubiegłego wieku, który zrozumiał, że samo nadziewanie mózgów wiadomościami nie wyczerpuje zadań szkoły, obowiązanej również dbać o zdrowie uczniów. Kopie chederów żydowskich, w których natłoczone dzieci śród zepsutej atmosfery gryzą ze wstrętem różne talmudy, są dziś już albo przeżytkami, albo belferniami skazanemi na zagładę.

Może nie w tym stopniu, co na Zachodzie, ale i my także oceniliśmy ważność hygieny szkolnej. W literaturze wyraziła się ona szeregiem dzieł i artykułów, w życiu — zrodziła gmachy (jak np. Górskiego), które mierzyć się mogą z wzorami zagranicznymi. Zakłady rządowe, wzniesione dawniej, nie odpowiadają jeszcze nowoczesnym wymaganiom, ale są przynajmniej zbudowane dla swojego celu. Obecnie nawet Praga postanowiła wznieść dom gimnazyalny, ażeby uwolnić swe dzieci od niewygód w wynajętych lokalach prywatnych. Zaiste rzecz dziwna, po za granicami tych zamierzonych starań i osiągniętych rezultatów pozostała na uboczu zapomniana, jedyna w Warszawie a może najważniejsza szkoła, która dotąd stanowi jak gdyby smutną pamiątkę przeszłości, jak gdyby wymowne i żywe zaprzeczenie tego, czem dziś być powinna. Mieści się ona w dwóch domach: jeden jest zwyczajną kamienicą prywatną, w której mało. do innego użytku przeznaczone pokoiki, przerobiono na ciasne klasy, drugi — to stara, ciemna, wilgotna rudera, położona pry najwęższej ulicy w Warszawie, otoczona zewsząd wysokimi gmachami. Niema w niej ani wentylacyi, ani światła, powietrze ciężkie, zużyte, po korytarzach przepływają wonie amoniakalne, a z małego podwórka biją takie wyziewy, że trzeba przed nimi szczelnie zamykać okna. Z powodu braku miejsca nawet komórki stróżów zamieniono na klasy, a salę gimnastyczną zastępuje maleńki placyk za kościołem, gdzie uczniowie brną w błocie lub marzną w zimie, wykonywając jedynie możliwe ćwiczenie gimnastyczne — „maszerówkę.“ I w takich to warunkach kilkuset młodzieży i nauczyciele spędzają całe dnie. Rozumie się, o „niezbędnych“ metrach sześciennych powietrza dla oddychania, o wszystkich normach hygieny nie może tu być mowy, a członkowie Towarzystwa hygienicznego i autorowie artykułów o poprawie zdrowotności nie potrzebują zwiedzać suteren i klatek stróżów sąsiadujących z miejscami ustępowemi, bo jeśli nie lepszy, to równie dobry materyał dowodowy znajdą na Kanonii.

A przecież w tej szkole kształcą się synowie ludzi zamożnych — kupców i przemysłowców; czyż więc ci nie powinniby pomyśleć o zebraniu funduszu, za który przy zasiłku rządowym zbudowanoby gmach zadośćczyniący elementarnym wymaganiom zdrowia? Zdobyły się na to miasta mniejsze, a nie może się zdobyć miasto, które pod względem wielkości jest 25-tem z rzędu na kuli ziemskiej? Dziwna niedbałość, powiemy nawet—dziwne okrucieństwo względem własnych dzieci.

Obce wzory.

Powoli „amerykanizujemy“ Warszawę. Oczywiście nietylko w znaczeniu dodatniem. Nie mamy jeszcze tramwajów elektrycznych, *ale* posiadamy — dwie cyklistki. List z ulicy Chłodnej na Koszykową „idzie“ wprawdzie tak długo, jak pakiet z Berlina do Petersburga, *ale* telefony będą niedługo o połowę tańsze, czyli będą „tylko“ cztery razy droższe — niż w Helsyngforsie. Natomiast posiadamy już doskonale imitowanego murzyna, który obnosi manifesty tingel-tanglów, i wysokie mury niektórych przynajmniej domów zdobią freski i krajobrazy, między które genialna fantazya malarska rzuciła słodkie zapowiedzi miodowo-chrześciańskie pana Wróblewskiego. Oczywiście są to tylko prolegomena, o ile przywołać na pamięć orgie barw reklamowych, któremi kłują nam oczy mury Berlina albo Paryża. Pochód każdego wynalazku, każdej mody, każdego zepsucia jest zazwyczaj jednakowy: idzie od zachodu na wschód. Zaczyna się to w Ameryce, zaraza ogarnia rynek angielski; potem rozpala swoje ogniska na kontynencie; wreszcie na Paryż, Wiedeń albo Berlin „cywilizujemy“ się my, nie ostatnie zresztą jeszcze geograficznego łańcucha ogniwo. Pochód trwa dość długo. Krój sukni modnej w Paryżu zdobędzie serce Warszawianki albo jej modniarki po dwu latach, na bruku Obrzydłówka zabłyśnie meteorycznem światłem w rok później I tak tedy zdarzyć się może, że zanim wmówią w nas kulturträgerzy pożytek jakiegokolwiek wynalazku, stracą dla niego serce kraje, które mu życie dały. Tak dzieje się np. ze specyfikiem reklamowym. My dopiero zaczynamy „rozumieć,“ że to nie ohyda — ordynarnymi kleksami pokrywać grzbiety domów naszych, a w Ameryce i Anglii ludzie z tem zwyrodnieniem walczyć zaczynają. Oto na-

przykład w Anglii utworzył się „Związek narodowy dla zwalczania nadużyć reklamowych,“ który obradował w Londynie 21 lutego pod przewodnictwem słynnego uczonego i polityka, Jamesa Bryce'a. Zaznaczono tam wyraźnie, że Ameryka zaczyna już opuszczać dawne ścieżki i że tradycye reklamowe zamierają. Amerykanie spostrzegli się, że gra nie jest warta świecy i że kolosalne sumy, lokowane w szpetnych szyldach, nie dają bynajmniej odpowiednich zysków. Bryce zauważył, iż nigdy nie dałby się nakłonić do używania pigułek pomimo piękności krajobrazu, na którego tle bywają one zachwalane. Dowiedzieliśmy się też, że niektóre miasta angielskie zażądały od parlamentu upoważnienia do rozciągnięcia kontroli nad reklamą. Ktoś również przypomniał, że we Francyi miasta ciągną znaczne zyski z opodatkowania reklam publicznych.

Wzory tedy mamy już gotowe — wzory agitacyi przeciwko niebezpieczeństwu, które rodzić się zaczyna nieledwie. Ale dlatego właśnie walka musi być nietrudna, zwycięztwo pewne.

„Pod niebem Dalmacyi.“

(Odczyt p. S. Bełzy).

Pamiętam, było to lat temu kilkanaście. Znajdowałem się w skromnym domu urzędnika, który wyprawiał zapusty. Był tam również adwokat, we fraku. Przyszedłszy, oświadczył na wstępie, że musi wyjść o dziewiątej, gdyż jest gospodarzem balu, który się odbędzie tego wieczora w miejskiej resursie. Obiecał przytem, że, jeżeli mu się uda, to wróci zaraz po dwunastej i opowie, co widział. Istotnie, wrócił witany owacyjnie przez starych i młodych. Zasiadł w fotelu i uspokajał przedewszystkiem ciekawość dam.

— Jak była ubrana pani A., jaką miała suknię?

— Żółtą — odparł.

— A pani B.?

— Pani B.? Miała suknię taką, wie pani, żółtą.

— A ta znana piękność ze wsi, pani C.?

— Była, była. Miała toaletę żółtą.

Rozmowie tej przysłuchiwała się mała Zosia, dziecko bardzo rozpieszczone. Gdy więc adwokat otrzymał zapytanie ogólne:

— Jaką była zabawa?

Dzieciak zawołał z pewną miną:

— Ja wiem, mamusiu, była żółtą!

Jeżeli p. Bełzy słuchała taka Zosia, to na zapytanie: jaką jest Dalmacya? — odpowie bez namysłu:

— Dalmacya jest w części zieloną i woniejącą, a w części dziwną, no i ma pomnik Gundulicza.

Oczywiście, zdaje się p. Bełzie, że społeczeństwo nasze czekało tylko na jego powrót z Dalmacyi, ażeby usłyszeć parę urywków już dawno przetłomaczonych przez p. Grabowskiego w jednem z pism warszawskich. Takie ubóstwo wiadomości nie usprawiedliwia autora nawet w tym wypadku, jeżeli pod niebem Dalmacyi znajdował się razem z p. Grabowskim. Historyczny skok, na jaki sobie autor pozwolił, od Karola W. do Napoleona I, przypomina odpowiedzi uczniowskie na zapytanie:

— Co pan wie o życiu Kopernika?

— Kopernik przyszedł na świat i, co za tem idzie, umarł.

Możnaby jednak nędzę faktyczną okupić wytwornością formy, umiejętnością obrazowania. P. Bełza w stylu próbuje naśladować Sienkiewicza (Dalmacya jest „raczej“ taką a taką), ale dopuszcza się błędów w używaniu zaimka „który,“ stawiając go w zdaniach określających na drugiem, a nawet trzeciem miejscu. Co do obrazowania, to wszystkie drzewa Dalmacyi są zielone i woniejące, a góry — jakieś dziwne. Może tak jest istotnie, ale w takim razie, co to kogo obchodzi? *tu.*

Z pod rąbka zasłony.

Jako dalszy ciąg sprawy, którą poruszaliśmy na tem miejscu przed rokiem (nr. 14), otrzymaliśmy list następującej treści:

„Na zebraniu Tow. wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy za r. 1899 członek Towarzystwa. p. D., skrytykował gospodarkę wydziału zebrań towarzyskich. Poważne zarzuty, przez p D. stawiane i dobro instytucyi mające na celu, nie przedostały się do wiadomości publicznej, gdyż zarząd Towarzystwa zaproszeń ani biletów wejścia na zebrania do redakcyj pism poważniejszych nie rozsyła, *Kuryery* zaś delegują na zebrania t. zw „specyalistów,“ którzy przedstawiają opinii publicznej wszystkie sprawy Towarzystwa w oświetleniu latarni magicznej Zarządu i jednocześnie uniemożliwiają wszelkie sprostowania. Zarzuty p. D., w części powtórzone przez *Prawdę*, nie zostały przez Zarząd odparte. Natomiast wszczęła się dziesięć miesięcy z górą trwająca faryzeuszowska robota podkopywania reputacyi p. D. w opinii publicznej i wykreślania go z listy członków. Jakkolwiek usiłowania te poważnie myśląca większość na zebraniu unicestwiła, należy jednak zaznaczyć stronne zachowanie się Zarządu w tej sprawie. Wbrew § 57 ustawy, żądającemu, aby wszelkie wnioski członków Tow., jasno umotywowane, składano na dwa tygodnie przed ogólnem zebraniem, wniosek gołosłowny, dotyczący p. D., „złożony“ został Zarządowi 24 stycznia, 30-go został przyjęty, a na 1 lutego zwołano zebranie. Dziwny pośpiech! Zawiadomiony o oskarżeniu p. D. zwrócił się osobiście do Zarządu z prośbą o wskazanie mu oskarżających motywów, by się mógł przygotować do obrony — odmówiono mu. Posłał do zarządu z tem samem żądaniem kolegę, p. O. — odmówiono powtórnie. Posyła wtedy wezwanie rejentalne — odmówiono po raz trzeci, tłomacząc się brakiem wszelkich motywów. Nie dość tego. Liczne grono poważnych członków podaje do Zarządu petycyę, aby przez wzgląd na dobro instytucyi załatwić sprawę za pomocą sądu honorowego, — wszystko daremnie...

Czy podobne traktowanie takiej sprawy, jak pozbawienie czci i moralne zabicie — dla prywaty — człowieka, może być cierpiane i czy Zarząd, jako honorowy mandataryusz Towarzystwa, postępuje słusznie, — pozostawiam uznaniu opinii publicznej wbrew kotletami opłacanym i suto za grosz wdowi winem oblewanym artykułom pp. reporterów.“

Fabryka wielkości.

W tych dniach zmarł Konstanty Górski, dyrektor warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia. *Kuryer warszawski*, składając mu hołd w osobnym artykule wstępnym, tak dalece posunął swój zapał, że zamiast narysować postać w naturalnej wielkości, rozpostarł ekran chwalby i na nim rzucił sylwetkę karykaturalnej wielkości, w której, jak przez mikroskop przeznaczony dla publiczności i obsługiwany światłem Drumonta, źdźbła wychodzą jak dęby, ziarenka piasku, jak skały, drobny skrawek skórki pomarańczowej, jak Alpy. Przyjrzyjmy się tym potwornym powiększeniom na ekranie *Kuryera*, rozpostartym przed publicznością: „Jako członek Towarzystwa rolniczego zaraz na pierwszem walnem zgromadzeniu był wyróżniony zaproszeniem do prowadzenia protokółu walnych zebrań. W spełnieniu tych obowiązków napisał sprawozdanie z dyskusyi sekcyi ogólnej. W r. 1860 sprawozdanie z przygotowanego przez nad komitetu Towarzystwa rolniczego... W tymże roku na posiedzeniu Towarzystwa rolniczego zdał sprawę z wystawy zwierząt gospodarskich w Warszawie. W r. 1861 opracował sprawozdanie delegacyi, wyznaczonej do zaprojektowania zmian, jakieby potrzebnemi się okazały w zastosowaniu instrukcyj skarbowych, klasyfikacyjnych i taksacyjnych.“ Dalej idą inne zasługi: że poświęcił się rolnictwu we własnym majątku, że się ożenił, że otrzymał medal pamiątkowy od podwładnych itd. Rozumiemy bardzo dobrze, że w skarbcu rodzinnym mogą posiadać wielką wagę najdrobniejsze szczegóły z życia domowego bliskiej osoby, że mogą być starannie przechowywane wszelkie notatki, co o pewnej godzinie owa osoba robiła na posiedzeniu lub gdzieindziej, ale reprodukowanie tych szczegółów za pomocą fabryk dziennikarskich, chętnie wytwarzających wielkości z pewnych warstw społecznych i towarzyskich, może być tylko niedźwiedzią usługą dla nieboszczyka, ośmieszeniem go i obniżeniem jego rzeczywistych zasług.

Z sądu.

Kuryer Warszawski drobnym druczkiem ogłosił następujące sprawozdanie:

— O lisa. Podczas polowania przez Ksawerego hr. Branickiego w lasach chojnowskich pomiędzy naganiaczami znajdował się młody chłopiec (lat 19), Franciszek Ziejewski, który, znalazłszy w śniegu postrzelone przez hr. B. lisiątko, podniósł je i schował jakoby w zaroślach. Widząc to leśniczy i inni naganiacze odebrali lisiątko i zapytali Ziejowskiego, na jakiej zasadzie on to uczynił, na co otrzymali odpowiedź, iż wolno zabierać zdechłego i złą woń już wydającego lisa, jeśli polowanie dawno skończone i myśliwi rozeszli się. Zresztą lis nie był widocznie postrzelony, lecz „schwytany przez kogoś za pomocą pętlicy.“

O zajściu tem opowiedziano głównemu uczestnikowi polowania, hr. Branickiemu, który nakazał sprawcę zajścia pociągnąć do odpowiedzialności, co też pełnomocnik hrabiego p. Dziewiątkiewicz wniósł.

Zeznania świadków w tej sprawie wypadły różnie, a sąd gminny skazał Ziejowskiego na 2 miesiące więzienia za kradzież.

Gdy sprawa przeszła do zjazdu sędziów pokoju 1-go okręgu gub. warszawskiej, podprokurator domagał się uniewinnienia oskarżonego z uwagi na niezgodność zeznań świadków, co też zjazd uczynił, uwalniając Z. od wszelkiej odpowiedzialności.

Od wyroku tego hr. Branicki odwołał się do senatu rządzącego ze skargą kasacyjną i senat z uwagi na to, że zjazd nie wskazał w wyroku, na czem polegała owa niezgodność zeznań, wyrok uchylił i przesłał akta do zjazdu miejskiego m. Warszawy, dla ponownego osądzenia sprawy.

Zjazd, sądząc świeżo po raz wtóry tę sprawę, wyrok sądu gminnego, skazujący Z. na 2 miesiące więzienia, zatwierdził.

BADANIA NAUKOWE.

SEN.

(Szkic biologiczny. *).

Mówią, że sen pokrzepia, że sen koi i że jest on podobny do śmierci. Czy nauka potwierdza za pomocą swych metod ścisłych to, co wykazało doświadczenie życiowe?

Przy powierzchownej, pobieżnej obserwacyi wydać się może, że na organizm ludzki fale życiowe, podrażnienia płynące z otoczenia, uderzają lekko, jakby go oszczędzając. Przyjrzyjmy się jednak zblizka, a ujrzymy wtedy, że niema najdrobniejszej cząstki czasu, w której setki, tysiące podniet nie spływałyby na ciało nasze. Jakkolwiek otoczyliśmy organizm powłoką odzieży, zabezpieczającą go od wpływów zewnętrznych, jakkolwiek istnieje wielka ilość przyrządów, które nie pozwalają, aby czynniki zewnętrzne zbyt silnie atakowały zmysły (np. powieki zabezpieczające oczy), jednakowoż skóra nasza i narządy zmysłowe znajdują się w ciągłem naprężeniu. Wciąż odbierają one mnóstwo wrażeń. I wrażenia te są natury najrozmaitszej. Ciągłe wahania temperatury, nieustanne, czasami nieuchwytne różnice ciśnienia powietrza, wrażenia świetlne, cały świat dźwięków — wszystko to trzyma nerwy skóry i zmysłów w stanie

*) Z seryi odczytów biologicznych w Muzeum przemysłu i handlu.

stałego napięcia. A dodajmy do tych przychodzących z zewnątrz jeszcze te nieustające podrażnienia wewnętrzne (z płuc, serca, kiszek itd.), powstające wskutek ciągłych, bez wytchnienia odbywających się procesów krążenia krwi, oddychania, trawienia!

Gdybyśmy byli w stanie zebrać całą ilość podrażnień, którym ulega nasz organizm w ciągu minimalnej jakiejś cząsteczki czasu i przedstawili tę ilość w cyfrach— niejeden nie uwierzyłby zapewne, aby to było możliwem. Wiemy z doświadczenia, że to, co natura urządziła w ustroju ludzkim lub zwierzęcym, jest celowe. Wiemy, że w organizmach nastąpiło wskutek przystosowania i doboru naturalnego zupełnie celowe zróżniczkowanie i rozwój poszczególnych części ciała. Żadna maszyna nie może być porównana co do swej doskonałości z organizmem. Jeżeli się więc nam wydaje, że w zwykłej maszynie każde kółko posiada swe przeznaczenie, to cóż mamy powiedzieć o komórkach różnorodnych ciała naszego? Otóż zaznaczymy tylko jeden fakt, który natychmiast oświetli i wyjaśni nam możliwie istnienie tej kolosalnej ilości podrażnień, jaką otrzymuje organizm ludzki lub zwierzęcy. Elementarne zasady z dziedziny fizyologii układu nerwowego uczą nas, że podniety oddziaływają przedewszystkiem na nerwy obwodowe. Nerwy te, w jakikolwiek sposób podrażnione, przenoszą te podrażnienia do mózgu. Kora mózgowa, otaczająca ściśle całą powierzchnię półkul mózgowych, przerabia otrzymane w ten sposób podrażnienia we wrażenia i wyższe wyobrażenia. Procesy te odbywają się bądź świadomie, bądź nieświadomie. Otóż Amerykanka, Helena Thompson, podjęła się nader uciążliwej pracy obliczenia ilości komórek nerwowych, znajdujących się w korze mózgowej dorosłego człowieka. Okazało się, że ilość ta przekracza 9,200,000,000 komórek. Tak kolosalny legion komórek nerwowych sprawuje najwyższy urząd w ciele naszem ze ścisłością, niedostępną dla urządzeń ludzkich.

Czy organizm ludzki lub zwierzęcy byłby w stanie wytrzymać ten niezmierny napływ podniet, gdyby nie istniał stan wypoczynku i snu? Wiemy na podstawie doświadczeń zaczerpniętych zarówno z życia, jak i badań ścisłych, że organizm niewypoczywający stosunkowo prędko się nuży i wyczerpuje. Sen stanowi stan fizyologiczny, który ratuje organizm Wtedy tętno życia staje się wolnem, prawie że niknie. Po gwałtownym naporze podrażnień następuje tak wielka cisza, że gdyby nie pewne objawy w postaci nieznacznych ruchów oddechowych i innych, wydawać by się czasem mogło, że nastąpiła śmierć. Staje się to najbardziej widocznem u zwierząt, śpiących przez całą zimę. To też ludy, stojące na niższych szczeblach kultury, zapatrywały się na sen, jak na śmierć ciała i wędrówkę duszy do innych światów, czasami pozagrobowych. Stan snu, tego najwyższego wypoczynku, trwa przez pewien odmienny dla różnych zwierząt czas, — potem następuje mniej lub więcej szybkie przebudzenie, ciało powraca do swych zwykłych czynności — do życia. Zjawisko to biologiczne ogarnia nietylko cały świat zwierzęcy, lecz nawet — jak niektórzy sądzą — roślinny. Wiadomo jest również, że rośliny i kwiaty zwijają i rozwijają swe listki, stosując się do nocy i dnia. Mimozy zamykają swe listki o zmroku i otwierają je, gdy światło je promieniami swymi otoczy. Stany te zmieniają się u niektórych roślin i kwiatów w tak wielkim porządku i z taką *peryodycznością*, że Linneusz był w stanie stworzyć „zegar roślinny,“ na którym odczytywał godziny.

Umyślnie użyliśmy wyrazu „peryodyczność,“ ona bowiem posiada znaczenie główne, ona jest regulatorem czynności życiowych.

Są ptaki, które śpią w dzień i czuwają w nocy. Istnieje nawet roślina, która kwiat swój na noc otwiera, a w dzień go zamyka (mesembryanathemum noctiflorum). Fakt ten nie posiada większego znaczenia, ponieważ donisłość snu polega na tem, aby organizm mógł wypoczywać w pewnych peryodycznych odstępach czasu. Kiedy zaś te odstępy nastąpią — pozostaje z tego punktu widzenia obojętnem.

Peryodyczność snu stanowi pod innym jeszcze względem fakt ciekawy. Przyjrzyjmy się czynnościom organizmów zwierzęcych i w wielu z nich dostrzeżemy działanie *rytmiczne lub peryodyczne* Rytm widoczny widzimy w oddychaniu, w poruszeniach serca i pulsu. Po za tem rytm zauważyć się daje w jedzeniu, chodzeniu i innych funkcyach ciała. Można powiedzieć, że rytm i peryodyczność leży w znacznej mierze w charakterze ośrodków nerwowych, jest z nimi ściśle związany. Sądzę nawet, że pewne stany psychiczne emocyonalne, jak stan smutku i apatyi, lub radości i ożywienia, zmieniają się u niektórych ludzi nerwowo-wrażliwych z pewną peryodycznością, z której oni sami sobie często nie zdają sprawy. Z tego punktu widzenia sen byłby rytmem spoczynku i pracy o nadzwyczaj długich, rozciągłych wahaniach. Użyliśmy tego określenia, aby dobitniej zaznaczyć to ogólne prawo fizyologiczne, które dotyczy wielu czynności organizmów złożonych.

Zobaczmy teraz, czy sen rzeczywiście pokrzepia ciało i koi ducha? Zjawiska, które występują podczas snu, najlepiej jest podzielić na dwie kategorye, a mianowicie na zjawiska somatyczne, czyli dotyczące ciała i zjawiska psychiczne, czyli dotyczące ducha. Otóż dokładne badania, czynione przez wielu fizyologów, wykazały, że podczas snu przemiana materyi znacznie się zmniejsza. Stosunek, zachodzący pomiędzy przemianą materyi podczas czuwania i — snu =145:100 (Tigerstedt). Ciepłota ciała również się obniża. Puls staje się wolniejszym, również i oddech jest spokojniejszy. Napięcie, jakie zwykle zauważyć można w naczyniach skóry i jelit, zmniejsza się widocznie. A co najważniejsze — mięśnie całego ciała, te najbardziej pracowite części, odpoczywają zupełnie. (Znaną jest rzeczą, że człowiek przyjmuje do snu najwygodniejsze położenie, w którem napięcie mięśni jest możliwie najsłabsze. To samo czynią ptaki, stojąc podczas snu. Ruch jelit staje się wolniejszy. Wszelkie odruchy słabną i nawet nikną podobno podczas snu głębokiego. Widzimy więc, że wszystkie części złożonego mechanizmu przestają pracować lub też praca ich staje się minimalną, tj. taką, jaką być musi, aby nie nastąpiła śmierć. U niektórych zwierząt, odbywających śpiączkę zimową (świszcze, jeże, nietoperze i in.) wszystkie te funkcye odbywają się tak powolnie i są tak nieznaczne, że zwierzęta czynią istotnie wrażenie martwych. Człowieka zbudzi ze snu ukłucie szpilką, lecz zwierzęcia śpiącego przez zimę nie obudzi nawet zupełne przecięcie rdzenia, jak osobiście skonstatować mogłem na świszczach alpejskich.

A jakim zmianom ulega podczas tego spoczynku ciała, duch nasz? Azali śpi, czy jego funkcye milkną zupełnie, czy też odbywają się w mniejszem tempie i są wskutek tego dla nas niewidzialne?

Duch nie milknie zupełnie podczas snu, jego czynności są jednak po części nieznaczne, po części odbywają się nienormalnie.

Przedewszystkiem, w zakresie wrażeń, słabe podrażnienia nie wywierają żadnego wpływu. Natomiast silne podrażnienia zewnętrzne, jak światło, ukłucie i in. powodują przebudzenie lub też zostają fałszywie pojęte, dając początek złudzeniom, występującym w formie marzeń sennych. Maury, jeden z pierwszych badaczów marzeń sennych, śnił pewnego razu, że żyje podczas rewolucyi, że tłumy go prześladują, chwytają, wtrącają do więzienia, prowadzą na gilotynę. Czuł już zimne ostrze spadającej siekiery na szyi, obudził się, skąpany w zimnym pocie i ujrzał ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że poprzeczny pręt żelazny zsunął się z poręczy łóżka i oparł się w poprzek szyi. To podrażnienie zewnętrzne zostało więc podczas snu fałszywie pojęte i wywołało systematyczne marzenie senne o zabarwieniu prześladowczem. Często wydaje się ludziom, że lecą z wysokich gór w przepaść bezdenną. Budzą się wystraszeni i widzą, że noga jedna zsunęła się z brzegu łóżka. Niekiedy prawdziwe bóle wywołują sny przykre, bolesne. Bóle odczuwane w okolicy serca lub newralgia międzyżebrowa wywołują marzenia senne, w których się śpiącemu wydaje, że złoczyńca przebija mu pierś sztyletem, że pies go kąsa itd. Często występują w snach afekty strachu wskutek nieprawidłowego oddychania. Można np. wywołać sztucznie t. zw. zmorę, jeżeli przykryć twarz człowieka, pogrążonego w śnie głębokim, kołdrą. Są to wszystko sny — złudzenia. Lecz częstsze są jeszcze sny—halucynacye (przeważnie wzrokowe i słuchowe), tj. marzenia senne, powstające w mózgu śpiącego bez najmniejszej podniety zewnętrznej, lecz jako samoistny łańcuch fantastycznie powiązanych z sobą wyobrażeń. Zauważyć się tutaj daje fakt ogólny, że najczęściej występują w tych marzeniach sennych zdarzenia z dni ostatnich. Jeżeliśmy np. podczas dni ostatnich uczestniczyli w pogrzebie osoby nam blizkiej — widzimy ją wtedy we śnie, rozmawiamy z nią, płaczemy. Stąd pochodzi zapewne wiara w powrót dusz zmarłych.

Widzimy więc, że duch ludzki nie milknie podczas snu. Powstaje jednak pytanie, czy marzenia senne istnieją podczas całego trwania snu i czy zjawiają się one u każdego śpiącego człowieka, czy też tylko u niektórych ludzi. Co się tyczy pierwszego pytania, to były czynione za pomocą metod psychologii doświadczalnej badania nad *głębokością* snu, w różnych stadyach jego trwania. U wezgłowia śpiącego ustawiano przyrząd, który określał w pewnych odstępach czasu głębokość snu. Przyrząd taki składa się przeważnie z kulek metalowych różnej wielkości, które z rozmaitej wysokości spadają na drewnianą lub metalową płytę i wywołują w ten sposób dźwięki, budzące śpiącego. Im głębszy był sen, tem silniejszy musiał być dźwięk, aby spowodować przebudzenie.

Badania te, czynione w ostatnich czasach, głównie w pracowni słynnego psychiatry Kraepelina w Heidelbergu, wykazały, że sen staje się najgłębszym po upływie trzech kwadransów; po upływie zaś dalszej 1 godziny — staje się znowu więcej powierzchownym. Otóż niektórzy badacze sądzą, że podczas tego najgłębszego snu funkcye mózgu zupełnie ustają. Lecz trudno jest zbadać, czy tak się rzeczywiście dzieje. Również trudno jest odpowiedzieć na drugie pytanie, mianowicie, czy marzenia senne powstają u każdego człowieka, czy też nawiedzają wyłącznie ludzi o wrażliwym ustroju nerwowym. Na podstawie doświadczenia życiowego i badań ścisłych sądzić należy, że sny powstają u każdego człowieka, lecz ponieważ nikną one prawie natychmiast po przebudzeniu z pamięci — nie zostają więc zwykle uświadomione.

Istnienie marzeń sennych, występujących samoistnie lub też pod wpływem podniet zewnętrznych dowodzi w każdym razie, że mózg funkcyonuje podczas snu. Posiadamy jeszcze inne tego dowody, zaczerpnięte z fizyologii doświadczalnej. Fi-

zyolog włoski, Mosso, czynił doświadczenia nad ludźmi, u których istniał brak pewnej części kości czaszki i u których mózg był wskutek tego przystępny dla badań odnośnych. Otóż okazało się, że dostatecznem było głośno zawołać śpiącego po imieniu, a ciśnienie krwi w mózgu natychmiast się wzmagało. Że mózg ludzki otrzymuje wrażenia podczas snu, dowodzi ten znany fakt, iż przerwa raptowna oddziaływających na mózg (podczas snu) jednostajnych podniet powoduje natychmiastowe przebudzenie. Młynarz, śpiący w puszczonym w ruch młynie, budzi się natychmiast, gdy turkot koła nagle zostanie przerwany. Opowiadają, że Haydn zużytkował ten fakt fizyologiczny, budząc raz uśpioną podczas koncertu publiczność londyńską za pomocą *andante* jednej ze swych słynnych symfonij.

(D. n.).

Dr. Edward Flatau.

HUMANISTA-POETA.

J. K. Potocki: *O energii społecznej* (rzecz z powodu „Logiki ekonomii" Z. Heryngа), oraz *Współdziałanie i współzawodnictwo*).

II.

Mojem zdaniem, Herbert Spencer jest jednym z przedstawicieli najbardziej zdawkowej metody w socyologii. Indukcya, to narzędzie operacyj umysłowych, tyle charakterystyczne dla polotu filozofii mieszczańskiej, w jego ręku wykazało całą swoją niemoc, o ile chodziło o sięgnięcie głębiej w istotę zjawisk. Płytkość jego teoryi ewolucyonistycznej jest zdumiewająca. Zdanie te wygłosiliśmy przed kilkunastu laty, gdy filozof angielski był jednem z bożyszcz, chociaż w Europie, w kołach wybitnych uczonych, spoglądano nań z wielką powściągliwością, i dzisiaj w niczem nie zmieniliśmy swego zapatrywania. W tym względzie stoimy z J. K. Potockim na przeciwległych biegunach, pisarz ten bowiem nigdy nie zdołał wyzwolić się z pod wpływów metodologicznych H. Spencera.

„Ze wszystkich bardziej znanych socyologów — pisze on — najbliższym istotnej metody naukowej w *zasadzie* był, jak sądzimy, Spencer... W rozważaniu faktów socyologicznych pominął on prawie zupełnie zjawiska bardzo ważne. Błąd ten, jednakże doniosły w skutkach, był, że tak powiem, tylko *ilościowym*. Stanowił on zresztą pierwszą niekonsekwencyę pisarza, który tak wymownie bronił szczegółowej i sumiennej indukcyi. Ogólna myśl ewolucyonistyczna ani trochę nie przyczyniła się do tak niefortunnego przeoczenia. Największa zasługa Spencera wypłynęła właśnie z tego, że do zjawisk społecznych przystępował on jako filozof, który już zdążył połączyć w jedną całość prawa fizycznego, biologicznego i psychicznego rodzaju i szukał teraz tylko ich dalszego uzupełnienia. Tą największą zasługą Spencera było, jak sądzimy, zespolenie socyologii z psychologią."

Nie rozumiemy nieco owego zespolenia socyologii z psychologią. Mniemamy, iż autor miał na myśli uwzględnienie pierwiastków duchowych pomiędzy czynnikami rozwoju społecznego. Byłby to więc jedynie niezręczny zwrot, zawierający w sobie wymaganie bardzo słuszne. Socyologia winna uwzględnić w swoich wywodach wszelkie czynniki, które ujawniają się w życiu gromadnem i tam wpływ swój wywierają, a pierwiastki duchowe niewątpliwie znajdują się w ich liczbie i posiadają doniosłe znaczenie. Żaden kierunek w socyologii nie może rościć sobie prawa do nazwy naukowego, jeśli pozostawia na uboczu któryś z działających bodźców i nie bierze w rachubę jego obecności. Nawet Spencer nie przeocza, jak mu zarzuca J. K. Potocki, wpływu pierwiastku ekonomicznego, bo cała teorya społeczeństw przemysłowych, odgrywająca taką rolę w etyce myśliciela angielskiego, wymownie o tem świadczy. Poczytywanie Spencerowi za osobliwą zasługę, że uwzględnia objawy psychiczne i „zespala socyologię z psychologią," daje się wytłomaczyć nieumiejętnością J. K. Potockiego liczenia się z cudzymi poglądami oraz niedostateczną znajomością poglądów przeciwników. Różnica pomiędzy kierunkami w socyologii polega nie tyle na zaprzeczaniu wpływów któregoś z czynników, ile na tem, że w odmienny sposób grupują one istniejące w życiu społecznem pierwiastki, oraz z innego punktu oceniają doniosłość wywieranych skutków i rodowód zasadniczych składników. Błąd Herberta Spencera tkwi nie w przeoczeniu pewnego czynnika, bo bądź co bądź trudno podejrzywać go o takie zaślepienie, ale w niewłaściwej ocenie skutków rzekomo przeoczonego pierwiastku; jest on nie ilościowym, tylko w całej swej rozciągłości *jakościowym*.

Społeczeństwo jest jednem z ogniw rozwoju kosmicznego. Ukazało się ono na podłożu życia organicznego i systematycznie użytkuje z duchowych właściwości, jako narzędzi swego istnienia i postępu, a jednocześnie jako spoideł, wiążących pojedyncze osoby w jednię zorganizowaną. Ale, wyłoniwszy się z ewolucyi kosmicznej, wytwarza coś własnego, tak dalece własnego i wyłącznego, iż ani w objawach biologicznych, ani w zjawiskach duchowych nie znajdziemy wyjaśnienia tego jądra. Spencer miał postępować jako filozof: połączywszy w jedną całość prawa fizycznego, biologicznego i psychicznego rozwoju, szukał dalszego ich uzupełnienia, społecznego. Myśliciel angielski, lubo naszem zdaniem nie przeoczył ani jednego czynnika, przecież nie dosięgnął celu skutkiem stosowania błędnej metody. W uwadze u dołu którejś stronicy J. K. Potocki zestawia Spencera z Comte'm ze względu na metodę — co najmniej niesprawiedliwie (takie zestawienia zdarzają mu się często: w pewnem miejscu Janet, płytki frazeolog, występuje w jednym szeregu z Marxem). Socyolog francuski, który przeszedł był dobrą szkołę, bo Saint-Simona był uczniem, wiedział doskonale, iż zjawisko społeczne wykazuje niejaki *plus*, którego nie dostarczą dane, zaczerpnięte ze zjawisk nie-społecznych. Spencer, w swej zdawkowej indukcyi pospolitego ewolucyonizmu, przyznaje teoretycznie to plus, praktycznie jednak analizą swoją nie sięgnął do jego głębi, zupełnie tak samo, jak czyni J. K. Potocki z pojęciem klasowości, które istnieje u niego, ale organicznie nie przenika wywodów i pływa zawsze jako obce ciało. Spencer zamiast rozpocząć od rozbioru rdzenia zjawisk społecznych w ich odrębności od wszelkich innych zjawisk i włączenia w nie objawów psychicznych, wychodzi ze sfery biologicznej i psychologicznej i do nich doczepia społeczeństwo.

Kwestya metody wiąże się u J. K. Potockiego ściśle z napaściami na dyalektyczne czyli ekonomistyczne pojmowanie dziejów, które w swoich wywodach wychodzi właśnie z takiego jądra społeczności, tj. przedewszystkiem poddaje rozbiorowi owo plus, które sprawia, iż zjawiska społeczne są czemś więcej, niż połączeniem jednostek w organizm, mniejsza czy biologiczny, czy też psychologiczny. Wyraźnie mówimy o napaściach, nie zaś o zarzutach, mogących uchodzić za krytykę. Zarzuty tam są dopiero możliwe, gdzie i kiedy krytyk zadał sobie pracę zaznajomienia się z założeniami przeciwników, a więc przeciw ich argumentom wystawia własne, podważa zasadnicze i rzeczywiste ich twierdzenia. Ale J. K Potocki zupełnie nie zna teoryi, przeciw której wymierzył ostrze swych dowcipów. Walczy insynuacyą. Opowiadają bodaj o Dumasie-ojcu, że gdy pisał którąkolwiek ze swoich wielotomowych powieści, na jednym ze stolików urządzał teatrzyk maryonetek, bohaterów utworu. Potocki, pisząc swe artykuły, obecnie zebrane w książce, urządził takie samo widowisko w wyobraźni swojej: wkładał maryonetkom w usta pewne założenia, które sobie uroił, a następnie mówił do jednej z nich: ty będziesz przedstawiała „jednostronne" natury, które to a to twierdzą. . Naturalnie, znajdą się tam słuszne uwagi, tak słuszne, iż my sami, należący do grona ściganych infamisów, przystaniemy na większość z nich; będzie niekiedy źdźbło dowcipu, ale jednego niema, a mianowicie odtworzenia rzeczywistości. Obrońcy podważonych poglądów mogą niejednokrotnie odpowiedzieć na pociski, przeciw nim skierowane, jedynie wybuchem wesołego śmiechu, a może radami i uwagami, że J. K. Potocki słyszał, że gdzieś dzwonią, lecz nawet nie zadał sobie pracy zbadania, jak, z jakiej okazyi i w jakim kościele.

Przyjrzyjmy się nieco tym harcom przeciw opętaniom własnej wyobraźni.

Wspomniawszy nazwisko jednego z najwybitniejszych analityków industryalizmu, wkłada mu do ust teoryę, będące w takiej formie na właściwem miejscu w pracy p. Trepki, ale nigdy w przyczynku człowieka, którego wprost obowiązkiem była rzetelna znajomość autorów, z jakimi rozprawia się. Pisze on: „Zapominając, że wszelki wynalazek techniczny bywa zazwyczaj następstwem indywidualnej asymilacyi psychicznej, oraz że krzewi się on w społeczeństwie w miarę postępów psychicznej asymilacyi międzynarządowej, pamiętając zaś tylko o tem, że stany świadomości przystosowują się w pewien sposób do nowego wynalazku, wygłosił on teoryę, z której możnaby mniemać, że materyalne czynniki są pierwiastkową, nie zaś wtórną przyczyną społecznych przeobrażeń."

Takiego oddania cudzej myśli nie możemy nazwać inaczej, niż wydawaniem sądu na podstawie babskich plotek, a nadto stanowczo twierdzimy, iż gdyby J. K. Potocki kiedykolwiek zapoznał się z krytykowaną doktryną, nigdyby nie włożył jej do ust takich absurdów. Świadomość indywidualna, skierowana na cele osobiste, stwarza w społeczeństwie żywiołowo pewne różniczki materyalne, które w procesie samorzutnym swego powstawania całkują się i wyłaniają wreszcie, w miarę tego całkowania, świadomość, skierowaną na zadania społeczne, wskazane przez naturę podłoża materyalnego — oto zasadnicza treść napastowanej teoryi, o całe niebo różna od tego, co uroił sobie o niej krytyk. W przytoczonym ustępie jest mowa o wynalazku. Ten wynalazek, doprawdy nie wiem dlaczego, odtąd wciąż pokutuje jako kozioł ofiarny, mający charakteryzować poglądy przeciwników!

„Ten fakt, że umysł ludzki, dążący do polepszenia bytu, umiejący wyzyskiwać, zespalać przypadkowo odkryte siły i własności przyrody, rozwijał się zawsze potężniej pod wpływem tych dokonanych przez się odkryć, a zwłaszcza ten fakt, że działanie owych odkryć i wynalazków kształtowało istotnie stosunki i budowę społeczną, do takiego stopnia olśnił umysły materyalistów, iż wynalazkom i odkryciom przypisali oni rolę naczelną w sprawie owego kształtowania, zapominając albo też nie wiedząc, że zmiana ukształtowań odbywała się tylko dzięki łącznemu działaniu rosnących ilościowo i rozwijających się jakościowo narzędzi zewnętrznych, oraz czynników ideowo-uczuciowych, że działanie pierwszych całą swą socyologiczną

skuteczność i sprawność zawdzięcza działaniu drugich, że w końcu głównym motorem rozwoju pierwszych jak i ostatnich była walka klasowa. Wszelkie ukształtowania stosunków społecznych, wszelkie społeczne ustroje są możliwymi teoretycznie i faktycznie przy wszelkich wynalazkach i narzędziach.... Naodwrót, wszelkie formy wytwarzania — niewolnicza, pańszczyźniana, najemnicza — możliwemi są przy wszystkich i najdalej posuniętych ulepszeniach technicznych i wynalazkach."

Utrzymywać, że rozwój społeczny zależy wyłącznie albo nawet głównie od form oraz narzędzi wytwarzania, znaczy to twierdzić, iż zależy od wszystkiego oprócz siły wytwarzającej oraz jej takich lub innych postaci. Dla biologa niedorzeczność podobnego twierdzenia byłaby odrazu widoczną. Zgodzi się on z tem, że budowa mrowisk zależy od materyału surowego, z których one powstają, że położenie, kształt i wielkość domku bobra zależnemi są od sąsiedztwa i kierunku rzeki, oraz znowu od przyrody użytego do robót materyału, ale nie zgodzi się, że budowle owe nie zależą od gruczołów mrówek, albo od zębów bobra. Dla socyologów jednak niektórych ów magazyn narzędzi najrozmaitszych, owa pracownia niestrudzona skojarzeń nowych, zwana świadomością, nie jest czynnikiem dość ważnym, aby historya jego działalności zasługiwała na jednakowe uwzględnienie w dziejach społecznego rozwoju z narzędziami i formami produkcyi."

„W dziejach ludzkiej myśli fetyszyzm materyalistyczny posiada zasługę należytego wyświetlenia wpływu niektórych czynników materyalnych z pominięciem jednak innych również materyalnych, jak rasa i klimat, na kształtowanie się społeczeństw; z drugiej jednak strony przyczynił się on do zapoznania całkowitej doniosłości walki klasowej, przez materyalistów samych zaznaczonej!"

Nie mnożymy cytat, chociaż znalazłyby się jeszcze charakterystyczniejsze. Czego chce od nieszczęśliwego infamisa nasz autor, doprawdy trudno pojąć. Jedno tylko nie ulega wątpliwości, iż nie zadał sobie pracy zaznajomienia się z tem, o czem z taką stanowczością rozstrzyga. Jego krytyka składa smutne świadectwo niedojrzałości naszej myśli społecznej, bo smutnem i zaiste przygnębiającem jest takie lekkomyślne postępowanie z przeciwnikami, którzy chociażby ze względu na swój wpływ teoretyczny, jaki wywarli, zasługują na nieco więcej sumienności. A co dziwniejsza, sam J. K. Potocki bądź co bądź jest właśnie często przedstawicielem tego tak krytykowanego kierunku, ale w jego fazie początkowej, takiej, w jakiej ujawnił się prawie przed stu laty. W ciągu wieku dyalektyczne pojmowanie dokonało takiego postępu, tak wydoskonaliło pojęcia swoje, iż na twierdzenia polskiego pisarza spogląda jako na majaczenia swego dzieciństwa. Na jedne jego zarzuty odpowie: i my to samo twierdzimy, tylko w doskonalszej formie; na inne odrzeknie: ale to są absurdy, z którymi nie mamy nic wspólnego! W paru ustępach, mianowicie przy rozbiorze ideałów męzkości i kobiecości z punktu widzenia interesów i warstw społecznych, J. K. Potocki nawet w zupełności przywłaszcza sobie założenia tych wyrzutków, tylko w takiej formie to czyni, iż muszą oni poczytywać jego wywody nie za popularyzacyę, lecz za pospolitą wulgaryzacyę swego pojmowania dziejów i życia społecznego.

Z przyczynków J. K. Potockiego nigdy nie dowiemy się, czem jest nauka, a tem mniej czego chcą różne kierunki socyologii. Zarzuty są skierowane w powietrze albo są to zwykłe ślepe ładunki. Dowiemy się tylko, co o tej lub innej rzeczy myślał pisarz, z pod którego pióra wyszły. O charakterze naukowym wywodów, o jakiejś konsekwencyi również niema mowy. Jego wywody socyologiczne tak się mają do wymagań nauki, jak statek, na którym Kolumb odkrył Amerykę, do parowców, dzisiaj kursujących pomiędzy Starym i Nowym światem. Jest to socyologia zręcznych zwrotów, miejscami udatnych paradoksów, ale o powierzchownej analizie i bardzo niekonsekwentnej logice. O nieznajomości przedmiotu nie warto wspominać — jest to tej socyologii nieodłączny przymiot.

K. R. Żywicki.

NOTATKI NAUKOWE.

— P. Wł. M. Kozłowski wydał zajmującą broszurę o „Rozalii Lubomirskiej jako ofierze teroryzmu w r. 1794" (Warszawa, Wende, str. 29), w której na podstawie własnych poszukiwań w archiwum narodowem w Paryżu i danych zebranych przez p. Kraushara („Ofiara teroryzmu," 1897) i K. Stryjeńskiego („Deux Victimes de la Terreur") nakreślił słoneczną sylwetkę Polki, która bez powodu znalazła śmierć męczeńską w piekle Terroru francuskiego. Lekkomyślna, rozbawiona, zniepraw iona w atmosferze dworu Poniatowskiego i Ludwika XVI, przyjaciółka pani Dubary, pod wpływem nieszczęść osobistych odnalazła w sobie człowieka i duszę i w ostatnich listach, jakie przed śmiercią do służącego (który otaczał ją troskliwością w więzieniu), do rodaków i do Bleszyńskiego, którego kochała — złożyła tej zmiany zasadniczej dowody niezbite.

— Najnowszy (ogólnego zbioru 39-ty) tom „Rozpraw Akademii Umiejętności" z wydziału historyczno-filozoficznego zawiera niemal w połowie objętości prace niezmordowanego Piekosińskiego, a mianowicie: 1) część pierwszą większej rozprawy o Statucie Litewskim; 2) rzecz nader pożyteczną: „Wiece, sejmiki i przywileje ziemskie w Polsce wieków średnich," wykład uniwersytecki, prostujący niektóre za mylne uważane poglądy Pawińskiego i Prohaski, wreszcie 3) niewielką notatkę krytyczną o wartości podań o najstarszych dziejach polskich, zapisanych przez Al—Bekrego z informacyj Ibrahima ibn Jakuba, Izraelity (wiadomości niezbyt wiarogodne). Po za tem znajdujemy w tym tomie dwie rozprawki K. Potkańskiego ze studyów nad XIV wiekiem (nr. III: Sprawa Restytucyi 1378—1381; nr. VI: Daty Zjazdów Koszyckich 1373, 1374, 1379); dwa szkice Prohaski (Uwagi krytyczne o klęsce warneńskiej, O dacie ugody małopolskiej duchowieństwa ze szlachtą za biskupstwa Zbigniewa Oleśnickiego — przeciwko prof. Ułanowskiemu), wreszcie rozprawę S. H. Badeniego o Stanisławie Ciołku, biskupie poznańskim, gdzie znajdują się liczne uwagi ogólniejszego znaczenia o życiu duchowieństwa w XV stuleciu, a cały rozdział poświęcony jest rozpatrzeniu stosunku wzajemnego kościoła i państwa.

— Do niedawna sądzono, że ciało bakteryi przy współczesnych naszych środkach optycznych nie daje się dalej różniczkować; tylko w bakteryach, tworzących spory, znajdywano ziarenka, stanowiące jakoby stadyum przygotowawcze w rozwoju spor. Teraz udało się wykryć podobne ziarenka i w takich bakteryach, które spor nie tworzą (np. w łaseczniku błonicznym). Odkrycie to posiada nietylko naukowe, ale i praktyczno-rozpoznawcze znaczenie. Dwaj uczeni Marx i Woithe dowiedli, że ziarenka owe znajdują się w bakteryach tylko tak długo, dopóki te ostatnie spełniają swoje funkcye życiowe; tak np. bakterye chorobotwórcze zachowują ziarenka, dopóki trwa ich żywotność, a tracą je przy dalszej sztucznej hodowli. Badania wspomniane pozwalają przypuszczać, że ziarenka są niezbędnymi organami dla sprawności funkcyj życiowych drobnoustrojów. Niektórzy przeprowadzają analogię pomiędzy owemi ziarenkami a rzeczywistemi jądrami innych komórek; to jednak pozostaje, jak dotąd, w sferze hipotez. *(b.)*

LITERATURA I SZTUKA.

KILKA UWAG
O SZTUCE I SPOŁECZEŃSTWIE.

Prawda życzliwem słowem pozdrowiła *Chimerę.* Przewidziała, że pisma bywają nieraz lepsze od swoich prospektów. Fakt powstania *Chimery* jest radością dla wielu ludzi dobrej woli. Jakże się nie cieszyć, gdy podnosi głowę szczery wysiłek, gdy Sztuce służyć się ofiaruje.

Ale... ale radość naszą mącą wspomnienia i nietylko wspomnienia.

Poniosła *Chimera* w świat te same mniej więcej nazwiska, które spotykaliśmy w zmarłem krakowskiem *Życiu.* I z *Życiem* zdaje się łączyć to nowe pismo podścielisko myślowe, filozoficzno-estetyczny podkład, na którym *Chimera* wznieść chce gmach sztuki, pogląd jej na sztukę oraz stosunek jej do społeczeństwa.

Są i różnice. P. Przybyszowski mówił w kastowym, stańczykowskim Krakowie, w mieście małem i przez małych ludzi opanowanem; p. Przesmycki mówi w Warszawie. Może to właśnie czas i przestrzeń nadały mowie p. Przesmyckiego tony oględniejsze, cichsze, miększe, — może to zresztą mowa z natury swojej mniej pyszna i bardziej względna. Dość, że ton, którym odzywa się p. Przesmycki, nie jest już tonem „Confiteoru." I stara się p. Przesmycki uzasadnić to, co mówi: uzasadnieniem zaś „Confiteoru" było chyba: „Powiedziałem! — Przybyszewski." Oto są różnice.

Podkład ideowy wszakże *Chimery* i *Życia* jest niemal ten sam. Wystarczy przypomnieć parę zasadniczych punktów. „Confiteor" głosił:

„Sztuka jest odtworzeniem tego, co jest wiecznem, niezależnem od wszelkich zmian lub przypadkowości, niezawisłem ani od czasu, ani od przestrzeni, odtworzeniem istotności, tj. duszy."

„Sztuka jest absolutem, bo jest odbiciem absolutu — duszy."

„Sztuka stoi nad życiem, wnika w istotę wszechrzeczy, obejmuje wszechrzecz od jednej wieczności do drugiej, nie zna ani granic, ani praw..."

Według p. Przesmyckiego *Chimera* ma być:

„Świątynią kultu dla sztuki z *absolutnych* płynącej źródlisk."

„Artysta musi patrzeć w naturę po to... aby dotarłszy do jej istoty, naucz yć się tworzyć tak, jak ona."

„Piękno jest objawieniem się istoty rzeczy w materyalnej ich formie... manifestacyą nieskończoności w skończoności... a celem sztuki jest realizacya tego piękna" — itd. itd.

Są to, jak widzimy, poglądy z postulatami „Confiteoru" bardzo pokrewne. Mamy prawo przyjąć, że streszczają one poniekąd teoryę estetyczną p. Przesmyckiego. Teorya, jako rezultat rozumowania, podlega prawom rozumu, nie zaś uczucia, podlega zatem krytyce rozumowej i ostać się wobec niej musi. Skoro zaś chcemy prawdziwość jej zbadać, musimy cofnąć się do źródeł, z których się ona wywodzi— do *pojęć,* które stanowią jej podstawę.

Pojęcia, które wprowadzają do teoryj swoich pp. Przybyszowski i Przesmycki, pojęcia „absolut," „istota rzeczy," „wszechrzecz" itd. są pojęciami filozoficznemi, których znaczenie musi być badane ze stanowiska teoryopoznawczego. W interesie *Chimery* staniemy odrazu na posterunku jej najbliższym, w punkcie widzenia poglądu idealistycznego. Otóż Kant wyka-

zał — a bezowocne, odmienne konstrukcye filozoficzne, tworzone w XIX wieku sprawiły, iż powracamy do jego teoryi (nowokantyzm) — że świat, który poznajemy, nie jest rzeczywistością samą w sobie, że nie poznajemy rzeczywistości w sobie, lecz zjawiskową jej stronę zmysłom naszym podległą. Rzeczywistość, rzecz sama w sobie, ludzkiemu od zmysłów zależnemu poznaniu nie jest dostępna. Nie wiemy i wiedzieć nie możemy, *jaka* jest istota rzeczy. możemy conajwyżej orzec, że *jest*. Jakimże więc sposobem i jaką drogą docierać ma artysta do istoty rzeczy dla człowieka niedostępnej? Na jakiej zasadzie twierdzić można, że „piękno jest objawieniem się istoty rzeczy w materyalnej ich formie?“ Jak realizować może sztuka tę właśnie, piękno stanowić mającą, istotę rzeczy? Jeśli nazwiemy ją absolutem i uprzytomnimy sobie jeszcze raz, że jest dla człowieka niedostępna i poznaniu ludzkiemu urąga, to jakaż sztuka z absolutnych płynąć może źródlisk? Co więcej, jakkolwiek nie wiemy, jaką jest istota rzeczy, twierdzić możemy na pewno, że nie jest nią piękno, bowiem piękno, jako pojęcie, wrażeń zmysłowych powodować nie może. Już w odpowiedzi p. Przybyszewskiemu zauważyliśmy i tu powtarzamy, że o ile poeta wybiega wyobraźnią w metafizyczne światy, opiera się zawsze na analogii z życia i niemocen jest pójść drogą, którąby nie była określona granicą jego życiowego, ludzkiego poznania. Życie nie może wzbijać się po nad życie, dlatego granicą sztuki jest życie i prawa jej są ściśle z prawami życia związane.

P. Przesmycki wywodzi sztukę z absolutnych źródlisk. Jednocześnie powiada, że w sztuce „miejsca na wszystkie indywidualizmy aż nadto.“ Przeczy sobie zatem i słuszność ma tylko ten drugi jego pogląd. Bowiem nie z absolutnych źródlisk płynie sztuka — różnorodność jej przejawów byłaby natenczas niezrozumiałą. Płynie z indywidualnych źródeł i jest tem wyższą, im silniejszem jest źródło, z jakiego bije, im większą jest indywidualność twórcza P. Przesmycki zasklepia przepaść leżącą między dwoma jego sprzecznymi poglądami i rzuca na nią pomost: zwie się on „uniwersalizowanie indywidualności.“ Lecz jest to pomost kruchy, który z miejsca się załamuje. Uniwersalizowanie indywidualności jest szukaniem i tworzeniem typu, to zaś niema nic wspólnego z absolutem

Koncepcya filozoficzno-estetyczna p. Przesmyckiego *Die Welt als Schonheit und Vorstellung*, bardzo nęcąca, jako pomysł poetycki, nie wytrzymuje krytyki i ma może mniej jeszcze uzasadnienia od koncepcyi Schopenhauerowskiej: *die Welt als Wille und Vorstellung*.

Mógłby ktoś powiedzieć, że p Przesmycki używa przenośni i obrazów, że jest poetą i że wolno mu posługiwać się mową poetów. Niewątpliwie. Nie przyszłoby nam na myśl poddawać krytyce wyrazów i zwrotów używanych przez p. Przesmyckiego w dziele sztuki. Inna wszakże rzecz, jeśli mamy przed sobą terminologię *teoryi* estetycznej *redaktora* Przesmyckiego. Bogactwo uczucia i ubóstwo mowy ludzkiej uprawnia artystę do używania przenośni i obrazów, pozwala mu snuć wyobraźniowe antytezy warunków i stosunków życiowych. Wolno mu marzyć i pragnąć — jest niewolnikiem skończoności — wybiega wyobraźnią, drogą przeciwstawienia, w nieskończoność; jest śmiertelny — śni o nieśmiertelności. Ale jest to robota uczucia i wyobraźni, oparta zawsze na materyale zaczerpniętym z ograniczonego ludzkiego poznania i obca „istocie rzeczy“ czy też absolutowi. Teorya natomiast jest pracą i rezultatem rozumu.

Tyle o teoretycznej stronie wypowiedzeń p. Przesmyckiego. Określa on nadto stosunek *Chimery* do społeczeństwa i z żalem stwierdzić musimy, że stanowisko, jakie w tym przedmiocie zajął, jest niesprawiedliwe i krzywdzące. I pod tym względem *Chimera* przypomina *Życie*. Tylko, że p. Przybyszewski żadnych nie miał skrupułów. Oświadczył, że „ludowi chleba potrzeba, nie sztuki“ i płonął w dalszym ciągu wśród duchów wybranych jako pochodnia „kultury.“ P. Przesmycki ma skrupuły. Przyznaje, że... „wrażliwość estetyczna nie jest rzeczą wrodzoną jedynie, że można ją rozwinąć w człowieku, który jej nie miał, można ją zabić w osobniku, jako tako nią obdarzonym.“ Przyznaje, że „jeśli pozostawać będziemy pod nieustannym wpływem brzydoty, możemy z czasem stać się zupełnie niezdolnymi do odczuwania piękna.“ I dalej: „Jest to snadź proste prawo nawyknienia. Wzrastająca stale atrofia wrażliwości estetycznej w szerokich warstwach społeczeństw w tem właśnie znajduje swe wytłomaczenie.“ Bez zastrzeżeń zatem oddaje szerokim warstwom całą dziedzinę sztuki stosowanej, jako sztuki, która ma za przedmiot „ziemską stronę życia.. i budzi tęsknotę ku temu, co daje sztuka czysta.“ Sztukę czystą natomiast zachowuje dla wybranych.

Czyni to z tem uzasadnieniem, że „twórczość prawdziwa, głęboka, jeśli wzruszyć ma potężnie, wymaga pownej znacznej siły uczucia i ducha od swoich czytelników, widzów i słuchaczy a przeto dostępna jest jedynie dla ludzi, zdolnych do nawpół równoczesnego twórczego spólnictwa duchowego. Zdolność ta — przyznaje p. Przysmycki — kryje się w każdym człowieku, ale dla wydobycia jej na wierzch długiej potrzeba pracy i kultury.“

Więc podejmijmy tę pracę! Powiedzmy: patrzcie, tu oto biją źródła piękna; chodźcie wszyscy, którzyście spragnieni, i pijcie! Wydobywajmy „złoto w kwarcu ukryte!“ Niech chwila nie stoi i jeśli jest „siła, która zjadaczów chleba w aniołów przerabia,“ nieśmy ją między rzesze i nie opóźniajmy pory jej władania!

Nie tak mówi *Chimera*. Nie sądzi, aby pragnienie Piękna żyło wśród nas. „Rewolucya francuska — powiada p. Przesmycki — stawiając zasadę równości i znosząc różnice klas, zniosła zarazem wysoką kulturę duchową stanów uprzywilejowanych, a nie dała jej stanom wyzwolonym... Skazując pierwszą na brutalną, cielesną walkę o byt, odebrała jej możność, chęć, a czasem i zdolność do odczuwania głębokich, subtelnych rzeczy duchowych; pozbawiając drugi prostoty, ciszy, elementarności... dała mu za to jeno pragnienie wygodniejszego żywota, płaskie zazdrości i niechęć do wszystkich niepojętych mu uskrzydleń duszy...“

(D. n.).

Malwina Posner-Garfein.

MALARSTWO.

Salon Krywulta: „Resurekcya“ Piechowskiego. — Pejzaże Hansa Busse. — Portrety Krzyżanowskiego. — Witraż Mehoffera. — „Wybrzeże morskie“ Klępińskiego. — „Bzy“ Tańskiego. — „Monte Maria“ Leona Hirszenberga. — E. M. Lilien.

Dwojakiego rodzaju bywają organizacye artystyczne. Jedne bardzo czułe, bardzo wrażliwe, z łatwością poddające się wszelkim powiewom i prądom świeżym i dzięki temu, zmieniające ciągle, na pozór przynajmniej, swe oblicze duchowe, inne — i tych jest większość — stalsze w swych upodobaniach i dążeniach, mające w sobie coś z niezmienności granitu. Niech powstają i giną kierunki, niech się ścierają hasła i prądy — one wiernie służą swym ideałom, chociażby chwila późniejsza dowiodła ich bezwartościowości. Do tych ostatnich należy Piechowski. Jest on z tych niewielu, co tworząc dzieła, nie myślą o łatwości zbytu, o wymaganiach rynku i dlatego ma on jeszcze odwagę do wielkich panoram, wielkich kompozycyj. Występuje na widownię publiczną bardzo rzadko, raz na kilka lat; można dzięki temu znać współczesny nasz ruch artystyczny, a nie znać Piechowskiego. Świeżo wystawiona jego „Resurekcya“ ma wszystkie zalety oraz wszystkie wady jego pędzla i dowodzi niezmienności jego natury twórczej. Piechowski maluje teraz tak, jak malowano u nas — i nietylko u nas — przed laty dwudziestu, a może i trzydziestu, kiedy rozpoczynał swoją karyerę artystyczną. Wszystko, co się odtąd stało w malarstwie, przeszło *obok* niego, nie zostawiając na jego twórczości żadnego widocznego śladu. Po dawnemu nie odczuwa on potrzeby powietrza w obrazie, po dawnemu figury, na obrazie umieszczone na otwartem powietrzu, czynią wrażenie malowanych w oświetleniu pracownianem, po dawnemu koloryt jego i rysunek jest akademicko-chłodny. Natomiast, również po dawnemu, mamy na jego płótnie przepyszną galeryę typów, już trochę wymierających, mamy w „Resurekcyi“ dokument obyczajowy, że użyję słów Taine'a, równie dobry i wartościowy, jak utwory poetów lub beletrystów. Lecz tego dla sztuki współczesnej mało, a tego nie wie, czy nie chce wiedzieć Piechowski

„Moderne“ natomiast jest Hans Busse, Monachijczyk, malujący pejzaże włoskie. Jako prawy syn stolicy nadizarskiej, poniósł swoją cześć dla tonów ciemnych, swą „rozasfaltowaną“ duszę malarską aż w Kampanię rzymską i w głąb Sycylii. Dzięki temu jego pejzaż włoski wychodzi po za granice prawdy i rzeczywistości, wkracza w krainę jakiejś fantazyi; na tle jego przyrody, na którą każe nam patrzeć, jak gdyby przez woalkę ciemną, nie umiem wyobrazić sobie żadnej istoty żywej. Może dlatego też jedyny u niego przedstawiciel ruchu świadomego — wiewiórka — robi wrażenie plamy na korze drzewa, czy też kupy liści zżółkłych, a nie żyjącego stworzenia. Gdybyśmy szukali podobieństw między nim a którymkolwiek z pejzażystów naszych, mimowoli wobec takiej np. „Wiosny w głębi Sycylii“ (stanowczo najlepszy pejzaż Bussego), pomyślelibyśmy o Ruszczycu. Ma Busse jedną bardzo wielką zaletę czysto malarską — to umiejętne bardzo dotknięcie. Kładzie on pędzlem plamy nie byle jak, nie w kierunku pewnych linij, lecz w kierunku tych płaszczyzn i kształtów, które przy pomocy plam barwnych wyobrazić pragnie. Dzięki temu jego trawy, kwiaty, kamienie wprost żyją.

Do Monachijczyków, nie z pochodzenia, lecz z wykształcenia, należą również: Klępiński i Krzyżanowski. Pierwszy dał zamroczony w kolorze ale bardzo ciekawy i „silny“ brzeg morski, drugi — parę portretów. Dlaczego niektóre z nich nazywa Krzyżanowski szkicami — nie wiem: nie widzę bowiem żadnych między nimi różnic w traktowaniu. Wszystkie są bardzo żywe i doskonałe w rysunku, lecz jednocześnie przyciemnione i ubogie kolorystycznie.

Wady kolorytu ma również witraż Mehofera, doskonale narysowany, lecz surowy, niedostatecznie zharmonizowany w tonach. Dla witrażu wada ta ma szczególne znaczenie, a jest ona dość dziwną, bo Mehofer we wszystkich swych tego rodzaju pracach dotychczasowych (że wspomnę tylko witraże dla kościoła we Fryburgu) dowiódł ogromnego poczucia harmonii kolorystycznej.

Do artystów, rzadko występujących publicznie, należy u nas Czesław Tański. A szkoda, bo z każdej prawie jego rzeczy bije w oczy duża zdolność malarska. Wystawione obecnie przez niego „Bzy“ są bardzo prawdziwe, bardzo ładne w tonach:

z akwareli tej płyną jakieś wonie wiosenne.

Na zakończenie wspomnę jeszcze o Leonie Hirszenbergu. Młodszy znacznie od brata swego, słynnego twórcy „Żyda," zdaje się zapowiadać również dobrze. Jego „Monte Maria" o zmroku ma dużo powietrza i nastroju. Natomiast motyw z Kampanii rzymskiej jest znacznie słabszy; wygląda na dzieło wcześniejsze od poprzedniego.

*

W ostatnich tygodniach przybyło do Salonu Krywulta kilkadziesiąt rysunków E. M. Liliena; są to winiety, ilustracye i kompozycye na tle biblijnem. Lilien jest zupełnie *moderne*, a modernizmem swym graniczy ze sztuką japońską. Jego np. „Samson rozdzierający lwa" wygląda, jak utwór któregokolwiek artysty japońskiego, lecz, niestety, nie z doby rozkwitu: Hokusai nie byłby się pod tym rysunkiem podpisał. Trudno, talentu naśladować nie można, co najwyżej — styl. Stylu Lilien nie psuje, bo dążność do zdobywania prawdy przy pomocy środków najprostszych jest w nim widoczna. Jeżeli zaś ta prawda nie zawsze odsłania mu oblicze swoje, to może składa się na to młodość artysty i brak wyrobienia. Zdolności bowiem ma niewątpliwie; dowodem—wielka, natchniona a bolejąca głowa Izajasza. Tworząc winiety i rysunki dekoracyjne, sięga nieraz do motywów hebrajskich (stare świeczniki synagogalne, dłonie błogosławiące itp.) i otrzymuje kombinacye bardzo szczęśliwe i bardzo estetyczne.

Michał Mutermilch.

POEZYE

Floksy

A kiedy przyjdzie floksów białych pora
I gdy żąć będą ciężkie kłosy płowe,—
W tę cichą jesień ziemskiego wieczora
Jabym chciał także złożyć senną głowę.
   Niby te miodne floksów białych wonie
   Chciałbym uczuciem w żywych się przesączyć,
   I jak dojrzałe kłosy na zagonie
   Męczącą życia pielgrzymkę zakończyć,
A jak kłos ziarno — siew myśli rozrzucić.
Tak wszystko z siebie oddawszy już ziemi,
Odejść na cichy sen między cichemi
W ten świat, skąd ciałem nie można powrócić.
   A odejść lekko, jak ten, co nie sarka,
   Lecz uśnie kwiląc, jak na gniazdach ptacy,
   Jak ta na polu znużona żniwiarka,
   Co przecież piosnką dokańcza dnia pracy.
Bo choć tu w życiu byłem taki smutny
I tak stargany śród losów zawiei,
O ziemio moja, ja nie psalm pokutny,
Lecz chciałbym skrę ci zostawić nadziei —
   I ucałować twe piaski, jak rękę
   Matki dziecina idąca daleko,
   I nie twe gromy, lecz twoją jutrzenkę
   Pod konającą zachować powieką.
I mówić żywym — niech się nie ulękną
Walki ze wszystkiem, co złe i skarlałe,
Bo idzie jutro, i prawda, i piękno...
Cicho — sierp dzwoni — kwitną floksy białe.

Adam M—ski.

NA MARGINESIE.

Jeszcze jeden — nie najmniejszy — jubileusz. Dnia 30 lipca 1850 r. angielska Izba gmin przyjęła nowy zupełnie bill. Nazywał się *The Public Libraries and Museums Act.* Aż szesnastomiesięcznych wymagał dyskusyi. D. 14 sierpnia podpisała się pod nim królowa. Zaczął obowiązywać. Od tego czasu zaczęły powstawać w Anglii biblioteki ludowe. Jakąś przedziwną odśrodkową pędzone siłą pokryły całe królestwo siecią wcale gęstą. Dziś liczą w Anglii *340 bibliotek* ludowych, które za pośrednictwem *sześciu milionów tomów* nawadniają kraj oświatą.

Byłoby niesprawiedliwością z naszej strony, gdybyśmy, o jubileuszu mówiąc instytucyi, nie święcili jubileuszu człowieka, który u jej stał kolebki. Nazywał się William Ewart. Urodzony w r. 1798 r. w bogatej rodzinie kupieckiej w Liverpoolu, od r. 1827 zasiadający w parlamencie, oddał się z całem zaparciem siebie, sił i środków sprawie szerzenia oświaty i uprzystępnienia jej rzeszom jaknajszerszym. W owym czasie Anglia pod względem czytelnictwa stała bardzo nizko. Podczas gdy w Belgii przypadało na 100 mieszkańców 95 tomów, we Francyi — 129, w Austryi—197, w Prusach—200, w Toskanii—261, w Bawaryi — 339, w Danii— 412, w Saksonii — 417, w Anglii stosunek ten wyrażał się w ilości 43 tomów na 100 mieszkańców. Pod wpływem gorzkich rozmyślań i szukając środków na chorobę, Ewart domagał się przez długi czas ustanowienia komisyi parlamentarnej, któraby bolączkę usunęła. Wreszcie wybiła dla niego godzina tryumfu. Parlament ogłosił prawo, orzekające, że zarządy miast w Anglii i Księstwie Walii, liczące 10 tysięcy i więcej mieszkańców, mają prawo pobierania specyalnego podatku (½ penny od 1 funta) na zakładanie i utrzymywanie bibliotek miejskich dla wszystkich bez wyjątku dostępnych i bezpłatnych. Prawo to w latach 1855, 1866, 1871, 1877, 1884, 1889, 1892 i 1894 uległo znacznym zmianom. Podniesiono stopę podatku do wysokości 1 penny; rozszerzono jego władzę na Szkocyę i Irlandyę, wreszcie postanowiono, że zarządy miejskie mogą same decydować, ile od mieszkańców na cele powyżej wymienione pobierać mają. W r. 1861 było w Anglii 21 bibliotek, w 1870 — 35, w 1890 — 187, w 1900 340 bibl. Widzimy, w jak szalonem tempie wzrasta ta statystyka w ostatnich dziesięcioleciach. Szczególniej da się to powiedzieć o Londynie, gdzie z wyjątkiem jednej założonej w r. 1856, wszystkie pozostałe (36) biblioteki powstały po roku 1883. Według ostatnich danych liczą one 4 miliony tomów.

Największy zbiór książek posiadają Manchester (280 tys.), Birmingham (215 tys.). Liverpool (200 tys.), Leeds (195 tys.), Sheffield (110 tys.) i Edynburg (100 tys.).

Dziś duszą całego tego wspaniałego i błogosławionego ruchu jest p. Passmore Edwards, który z własnych środków założył kosztem milionów — *dwadzieścia* bibliotek ludowych.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum skarbu pozwoliło tymczasowo odłożyć na rok jeden wprowadzenie języka urzędowego do czynności biurowych Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem, czyli pozwoliło Towarzystwu posługiwać się w biurowości językiem polskim do d. 14-go stycznia 1902-go roku. Odpowiednie rozporządzenie, przesłane już wcześniej władzom tutejszym, ogłoszono obecnie w „Zbiorze praw i rozporządzeń rządowych."

— D. 26 lutego w sali przyjęć ministra oświaty, mieszczanin z Homla, Piotr Karpowicz, podczas podawania prośby, wystrzałem z rewolweru ranił w szyję ministra. r. t Bogolepowa. Rana nie jest niebezpieczna. Śledztwo pierwiastkowe wykazało, że sprawca zamachu jest b studentem wydziału przyrod. na uniw. moskiewskim, skąd w r. 1896 był wydalony za udział w rozruchach studenckich. W r. 1898 pozwolono mu wstąpić na medycynę w uniwersytecie jurjewskim, skąd na wiosnę 1899 r. został wydalony za udział w rozruchach. W roku ubiegłym K. słuchał wykładów w uniwersytecie berlińskim.

Gaz. Finlandzka donosi: „W d. 18-ym lutego w Helsingforsie w rocznicę ogłoszenia przez Cesarski senat finlandzki Najwyższego manifestu w d. 3-m lutego 1899 r. dokonano szeregu manifestacyj. Około godz. 5-ej wieczorem na przewodniku elektrycznym na ul. Esplanadowej, między domem Grenkwista a bankiem Wazowskim, wywieszono czarne płótno z nazwiskami senatorów, którzy głosowali za ogłoszeniem Manifestu; te same nazwiska wypisano na transparancie, wystawionym w oknie sklepu „Crescent;" prócz tych nazwisk były tam napisy: „Prawo ponad wszystkiem," „Kraj powinien być rządzony przez prawo" i t. p. Po godz. 7-ej wieczorem okna domów, wychodzące na ulice, starannie zasłoniono ciemnemi roletami, sklepy zamknięto i światła w nich pogaszono. Pozostały oświetlone: kilka sklepów rosyjskich, mieszkania większości mieszkańców rosyan oraz bardzo nieliczne sklepy i mieszkania obywateli miejscowych. Gaszenie światła, dokonane w porze niewłaściwej, i tak zgodnie w całem mieście, oczywiście tłomaczyło się mnóstwem ogłoszeń, rozrzucanych i roznoszonych do mieszkań na kilka dni przed 18-ym lutego, ogłoszeń wzywających do gaszenia świateł o godz. 7-ej wieczorem. O godz. wpół do 8 duży tłum, złożony przeważnie z młodzieży i inteligencyi, zebrał się przed pomnikiem Cesarza Aleksandra II, a grupa kobiet złożyła u jego podnóżka wstęgę żałobną z napisem. Wstęgę wkrótce sprzątnięto. Jednocześnie znaczny tłum publiczności, wśród którego niemało było młodzieży, snuł się po ulicach miasta, zmuszając sklepy, jeszcze oświetlone, do gaszenia świateł, przytem niektóre osoby pozwalały sobie wpadać do sklepów i osobiście gasić światło. W ten sposób zmuszone były zgasić światła sklepy: Perłowa, Worobiewa, Aładżina, skład tytuniu na ul. Union pod Nr. 27-ym, piekarnia na ul. Henrykowskiej w domu „Kaleva," apteka uniwersytecka, magazyn grecki Kulliasa i inne. Jednocześnie tłum zebrał się także przed pewnemi mieszkaniami, należącemi do rosyan, a niektórzy manifestanci, nie zadawalając się tem, pozwalali sobie nawet dzwonić do mieszkań dwóch sztab-oficerów, mieszkających w śródmieściu, hałasować na schodach, robić pogróżki; dopiero wdanie się wezwanej przez lokatorów policyi zapobiegło wtargnięciu ich do mieszkań. Jednocześnie w tym samym celu tłum zebrał się przed księgarnią pod firmą N. T. Riezwyj. Wreszcie urządzono kocią muzykę przed mieszkaniami niektórych senatorów. Do okna jednego z nich tłum, prócz tego, rzucał kawałkami śniegu. Senatorowie otrzymali listy z pogróżkami z podpisem „tajnego związku patryotycznego."

— Giełda pracy w Paryżu otworzyła szkołę dla robotników (czynną od 20 września 1900 r.), która ma na celu przedewszystkiem zapoznanie pracujących z zadaniami polityki społecznej, z kwestyami bieżącemi prawodawstwa, dotyczącego pracy. Wykłady obejmują trzy przedmioty: prawodawstwo robotnicze (adwokat przy sądzie apelacyjnym, Lagardelle), organizacye robotnicze (prof Simiand), warunki ogólne pracy (dr. Fauquet).

— Na podstawie danych urzędowych kreśli dr. Brunn w najnowszym zeszycie czasopisma *Ostasien* następującą tablicę wynagrodzenia robotników w Japonii. Najniższą płacę otrzymują robotnicy wiejscy oraz kobiety w przemyśle tkackim — 19 sen (kop.) dziennie. Tkacze otrzymują 27 sen najlepiej płatni są krawcy, szyjący odzież europejską (58 sen), podczas gdy szyjący podług wzorów krajowych otrzymują tylko 37 s. Japończycy utrzymują, że przy porównaniu z kosztami utrzymania płaca ta jest 2—3 razy niższa, niż w Niemczech. Płaca w Japonii rośnie z każdym rokiem, tak iż powszechnie obawiają się imigracyi Chińczyków i obostrzają wyraźnie ich pobyt w Japonii, czyniąc go zależnym od każdorazowego zezwolenia władzy administracyjnej. Przed kilku laty wypowiadano w prasie europejskiej obawy przed najazdem taniej siły roboczej ze wschodnich krańców „żółtej" Azyi. Dziś już na przykładzie Japonii stwierdzić można, o ile obawy te były płonne i przedwczesne.

Wystawy. Od 25 maja do 7 Lipca r. b. odbyć się ma w Lublinie wystawa przedmiotów sztuki i starożytności, z której dochód przeznaczony jest na powiększenie funduszów miejscowego Domu Zarobkowego. Komitet wystawy zwraca się do osób, pragnących wziąć w niej udział, z prośbą o nadsyłanie odpowiednich przedmiotów do 7 (20) kwietnia pod adresem: Tad Piotrowski, Oddział Banku handl. w Lublinie,

— D. 2 marca r. b. w redakcyi *Rolnika i hodowcy* odbyło się ostateczne posiedzenie członków komitetu pierwszej wystawy rybackiej, na którem nastąpiło zamknięcie rachunków i rozwiązanie komitetu. Koszta urządzenia wystawy wyniosły 7,788 rb.

39 kop. Dochód wyniósł takąż samą sumę. Tym sposobem pierwsza wystawa rybacka została zamknięta bez deficytu, nadto w remanencie Towarzystwa rybackiego zostały ozdobne i kosztowne baseny, które mogą być użyte przy następnych wystawach.

Odczyty. Ostatni cykl odczytów biologicznych w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa rozpoczął d. 2 marca dr. H. Nusbaum wykładem „O idei mechaniki fizyologicznej ustroju.“ Drugi odczyt (6 b. m.) dr. E. Flatau'a drukujemy w dzisiejszym numerze. Następnie przemawiać będą: dr. R. Radziwiłłowicz „O instynkcie i świadomości“ (9-go), J. Tur „O doświadczeniach nad rozwojem zwierząt“ (13-go), K. Czerwiński „O barwach u zwierząt“ (16-go), Z. Wójcicki „O wrażliwości i ruchu u roślin“ (20-go), dr. E. Flatau „O czuciu i ruchu“ (23-go) i dr. A. Fabian „O mechanizmie i organizmie“ (27-go).

Ruch kobiecy. W rozprawach budżetowych w parlamencie niemieckim skarżono się, że zarząd poczt w celu obniżenia płacy obsadza posterunki kobietami. Pracuje w biurach pocztowych niemieckich obecnie 7,500 kobiet.

— W Helsyngforsie słucha wykładów w uniwersytecie 398 kobiet, na politechnice immatrykulowanych jest 6. Większa część studentek zapisanych jest na wydziale filozoficznym. W zeszłym roku 8 „filozofek“ zdało egzamin na stopień kandydatek filozofii.

Biblioteki ludowe. Towarzystwo oświaty ludowej w Berlinie założyło i popierało w roku 1900 644 biblioteki i ofiarowało im bezpłatnie 31,440 tomów książek.

Rozmaitości. Policya hamburska wytoczyła proces karny rodaczce naszej, ekonomistce dr. Róży Luxemburg, z racyi używania panieńskiego nazwiska w działalności publicznej. Nazwisko małżonka brzmi Lübeck. Pani L. wypowiedziała świeżo w Hamburgu szereg odczytów o polityce niemieckiej w Chinach.

Zmarli. Wittelshöfer Otton, bardzo zdolny ekonomista austryacki, wysokiej wartości moralnej przekonaniowo radykał, politycznie nieczynny, przed laty dyrektor banku, autor wartościowej pracy „Untersuchungen über das Kapital“ i nieukończonego dzieła z dziejów literackich ekonomii narodowej. Zm. w 46 roku życia w Wiedniu.

— Lucyna Ćwierczakiewiczowa, autorka książek kucharskich, w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

W. pr. Pr. w Wars. Z nadesłanych utworów możemy wnioskować, że Sz. Pan niema wcale zdolności poetyckich.

S. W. M. Drobiazg nieciekawy.

Gozda. Przekłady gorsze od rzeczy oryginalnych, a jedne i drugie nic warte.

X. X. Nie zamieścimy.

X. Y. Tylko *Slazk.* Druga forma utworzyła się pod wpływem niemieckiego *Schlesien.*

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych** w Królestwie Polskiem ma zaszczyt podać do wiadomości, że Zarząd Cesarskich zakładów porcelany i szkła celem opublikowania i przyciągnięcia możliwie większej liczby osób do udziału w konkursie, ustanowionym na wykonanie artystycznych rysunków, podług których mogłyby być wykonywane przedmioty z porcelany i szkła, nadesłał warunki tego konkursu, które są do przejrzenia w kancelaryi Towarzystwa.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Февраля 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.